

Dziś w numerze: Słoneczko, karczemka – dwa podarki boże • Inne dzisiaj drogi • Gdzie ruski duch, gdzie Rusią pachnie • Uwaga, pirat w eterze! • Wiersz • Felietony • Recenzje

odgłosy



49 (579)
8. XII. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI



LEKARZ -społecznik to naczelne zadanie

Rozmawiamy
z J. M. prof. dr Tadeuszem
Pawlikowskim

— Panie Rektorze, jesteśmy świadkami żywiołowego rozwoju medycyny, a szczególnie niektórych jej gałęzi. Nie może to chyba pozostać bez wpływu na tok studiów medycznych. Wiedza medyczna rozwija się w postępie niemal geometrycznym i wprowadza studia trwając sześć lat, ale to chyba i tak za krótko, by opanować wiedzę tradycyjną i najnowsze osiągnięcia.

— Istotnie, jest to przedmiot stałej naszej troski i dyskusji. To była główna przyczyna reformy studiów, wprowadzonej przed czterema laty. Potrzeba szczególnie pałąca, bo fakty naukowe z dziedziny przyrody i medycyny podwajają się obecnie w bardzo krótkim czasie. Posiuzę się tu przykładem. Okres rozwoju medycyny od 1492 do 1850 roku podwoił na przestrzeni 400 lat fakty naukowe zgromadzone przez medycynę od czasów Hipokratesa. Lata 1850—1900, lata Pasteura, Kocha, Skłodowskiej-Curie były znowu milowym krokiem w rozwoju medycyny. Pierwsze ćwierćwiecze XX stulecia podwoiło wiedzę medyczną w stosunku do poprzedniego okresu. Obecnie wystarczy 6—10 lat, aby pomnożyć fakty naukowe w stosunku do każdego poprzedzającego okresu. Tak więc 6-letni czas studiów potrafi zmienić oblicze medycyny w wielu dziedzinach. Powstaje problem, co przekazywać studentom, by byli jak najlepiej przygotowani do zawodu?

Reforma studiów poszła w jedynie słusznym i możliwym kierunku ograniczenia wykładów na rzecz ćwiczeń praktycznych. Zajęcia praktyczne zwiększono przeciętnie o 30—40 procent i o tyle zmniejszono wykład. Reforma objęła w tym roku czwarty rok studiów. Wyraża się

Dalszy ciąg na str. 2

JAN MUJZEL

Problemy nauki i nauczania w środowisku wielko- przemysłowym

Niektóre doświadczenia i aktualne problemy łódzkiego ośrodka szkolnictwa wyższego i nauki pozwalają na sformułowanie pewnych refleksji i wniosków o charakterze, jak sądzę, nie tylko wyłącznie lokalnym.

PRZEBYTA DROGA

Rozwojowa droga i osiągnięcia ośrodka łódzkiego w okresie 20-lecia Polski Ludowej powinny być oceniane jako bez żadnej przesady imponujące, niewiele mające sobie równych i w kraju i w skali międzynarodowej. Na nieomal pustym miejscu, bez żadnych prawie tradycji i dorobku w latach minionych, powstał w tym rdzennie robotniczym mieście jeden z największych a zarazem najbardziej preżnych w kraju centrów nauki i kształcenia. Dziś w siedmiu łódzkich wyższych uczelniach pobiera naukę przeszło 25 tys. studentów, czyli ponad 8 procent ogólnej ich liczby w Polsce. Zatrudniają te uczelnie około 2,5 tys. pracowników naukowo-dydaktycznych, w tym ponad 400 profesorów i docentów. Pozauczelniany potencjał nau-

kowy reprezentują w Łodzi 22 placówki badawcze o charakterze ogólnokrajowym oraz stosunkowo gęsta sieć jednostek o zadaniach lokalnych, stanowiących zaplecze naukowo-techniczne przedsiębiorstw i biur projektowych. Tylko w placówkach o zasięgu ogólnopolskim pracuje tu około 7700 pracowników, czyli blisko 8 procent ogólnokrajowego zatrudnienia w zapleczu naukowo-technicznym tego typu. Stawia to nasze miasto na trzecim miejscu po Warszawie i Górnym Śląsku.

Bilans osiągnięć ośrodka charakteryzować można rozmaicie. W dziedzinie kształcenia — dziesiątkami tysięcy dyplomów i specjalistów służących swoją wiedzą i społecznym zaangażowaniem gospodarce i kulturze nie tylko naszego miasta i regionu, ale całej Ludowej Ojczyzny. W dziedzinie naukowej myśli tworzącej — poprzez znane w skali krajowej, a nieraz także międzynarodowej, sukcesy łódzkiej fizyki wielkich energii, chemii fosforów, polimerów i radiacyjnej, mikrobiologii i biochemii, łódzkiego ośrodka matema-

Dalszy ciąg na str. 3



Trzeba było aż czterech lat trudnych debat politycznych, aby w końcu Zgromadzenie Ogólne NZ zatwierdziło konwencję o nieprzedawnieniu zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości. Jej głównym autorem jest Polska, kraj, który w latach wojny każdego dnia ponosił straty rządu 2.900 ludzi. Mielśmy przeto szczególne prawo, aby inicjować przyjęcie zasady, że czas nie chroni ludobójców przed sprawiedliwą karą. Kierowaliśmy się przy tym zarówno laktęm, że w NRF tysiące zbrodniarzy przebywają na wolności, a już za miesiąc — poczwyszy od 1969 roku — w świetle NRF-owskiego prawa ich czyny miały stać się bezkarne, jak też chęcią uchronienia świata przed powtarzaniem się zbrodni, niestety nadal dokonywanych w Wietnamie i na Bliskim Wschodzie.

Konwencja o nieprzedawnieniu zbrodni określona została w wywiadzie dla PAP przez prezesa Sądu Najwyższego PRL — Z. Resichę — „jako najważniejszy dokument prawny zatwierdzony przez ONZ od 1948 roku, kiedy uchwalono konwencję o ludobójstwie”. Tak jest niewątpliwie. Wiąże ona bowiem wszystkich jej sygnatariuszy i powinna w prostej linii prowadzić do uchwalenia międzynarodowego kodeksu prawnego, regulującego odpowiedzialność za zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciwko ludzkości. W NRF powinna ona spowodować uchwalenie ustawy, znoszącej przedawnienie, które miało tam po 20 latach i które tylko powszechnym naciskiem opinii publicznej doraźnie przesunięto do 1969 roku.

Konwencja o nieprzedawnieniu nie otrzymała w ONZ wszystkich głosów. Właściwie uchwalono ją głosami krajów socjalistycznych i krajów „trzeciego świata”. Przeciwno niej wypowiedziały się najbardziej rasistowskie i dyktatorskie reżimy w rodzaju południowoafrykańskiego i portugalskiego. Nie było to niespodzianką. Rzeczą natomiast wielce charakterystyczną jest, że w jednym rzędzie z nimi znalazły się Stany Zjednoczone i W. Brytania. Doprawdy trudno to pogodzić z ciągłymi przechwałkami o zachodniej demokracji i prawach człowieka.

Tak, jak cztery lata świat oczekiwał na przyjęcie przez ONZ zasady nieprzedawnienia zbrodni, tak trzeba było niemal miesiąca, aby Sajgon wreszcie wyraził zgodę na wysłanie swej delegacji na rozmowy paryskie. Miesięczna zwłoka w podjęciu negocjacji, od których zależy przerwanie wojny wietnamskiej i powodzenie rozwiązywania konfliktu, nie jest spowodowana li tylko bojaźnią Sajgonu przed pokojem. Jest ona przede wszystkim odzwierciedleniem niejednoznacznej postawy Waszyngtonu. Powstrzymuje przecież wiadomo, że Johnson i jego administracja zmuszeni zostali do rokowań laktami, na które składa się i niemożność osiągnięcia militarnego zwycięstwa, i izolacja amerykańskiej polityki. Rozmowy paryskie wymuszono więc. Ale do dziś politycy amerykańscy nie wyzbyli się złudzeń, że rozwiążą sprawę po swej myśli, tzn. zlekceważą rzeczywisty układ sił politycznych w południowym Wietnamie. Jakże bowiem inaczej rozumieć słowa komunikatu rządu USA, opublikowanego przed kilku dniami: „W zgodzie z naszym poglądem co do charakteru tzw. Frontu Wyzwolenia Narodowego, będziemy traktowali wszystkie osoby po drugiej stronie stołu — bez względu na to za kogo będą one siebie uważały — jako członków jednej strony, mianowicie Hanoi i — z praktycznych względów — jako jedną delegację”? Amerykanie za wszelką cenę chcą podtrzymać przekonanie o reprezentatywności rządów Thieu-Ky. Jest to próba pozostania przy miere równie złudnym, jak możliwości wywalczenia w Wietnamie zwycięstwa militarnego.

Rozmowy paryskie w swej nowej fazie mają się rozpocząć 7 grudnia. Z pewnością jednak w pierwszej kolejności trzeba będzie przebrnąć przez zawiłości proceduralne, które wynikają z amerykańskiego dążenia do przekształcenia ich z rozmów czterostronnych w dwustronne. Jest jasne, że ta zmiana stanowiska USA zmierza do wypaczenia charakteru konferencji i pomniejszenia roli FWN, który — przypomnijmy — kontroluje cztery piąte terytorium Wietnamu południowego o 10-milionowej ludności i jest wyrazicielem jej interesów.

Nowe amerykańskie kombinacje nie rokurują nadziei na szybkie osiągnięcie rzeczywistego postępu w sprawie wietnamskiej.

I jeszcze na chwilę powróćmy do omawianego w ub. tygodniu kryzysu walutowego w zachodniej Europie. Podano właśnie do wiadomości, że w okresie między 14 a 21 listopada bank Francji stracił sumę prawie 2.200 mln franków. Było to następstwo gorączki spekulacyjnej, polegającej m. in. na wywozie za granicę ok. 15 miliardów franków.

Jak Czytelnicy wiedzą, prez. de Gaulle oparł się naciskowi na dewaluację, zapowiadając szereg drastycznych przedsięwzięć dla ratowania sytuacji. Mimo iż napięcie walutowe spadło, co wyraża się m. in. w niższych notowaniach marki NRF — w dalszym ciągu jednak utrzymuje się niepewna sytuacja. Opinia publiczna z dużym zainteresowaniem śledzi rozwój wydarzeń, dopatrując się w nich nie bez racji elementów walki politycznej między Francją a NRF. Wielu otwiera się oczy na nie wróżącą nic dobrego rolę NRF w Europie.

W. SŁAWSKI

Rozmawiamy z J. M. prof. dr Tadeuszem Pawlikowskim

Dalszy ciąg ze str. 1

ona również sprofilowaniem pewnych przedmiotów. Na 1 roku skupione są wszystkie przedmioty morfologiczne, II rok poświęcony jest zagadnieniom fizjologii i biochemii. Na starszych latach reforma charakteryzuje się m. in. zwiększoną liczbą ćwiczeń z zakresu przedmiotów podstawowych: interny, pediatrii, ginekologii i położnictwa oraz chirurgii. Przedmioty dodatkowe jak okulistyka, dermatologia czy laryngologia zajmują mniej godzin.

— Jakże to da wyniki? — Zobaczymy, kiedy uczelnię opuszczą roczniki objęte zreformowanym systemem studiów. Należy sądzić, że będą to lekarze z większym doświadczeniem, o większej praktyce, uzyskanej już w toku studiów. Myślę, że dzięki temu systemowi możliwe będzie wprowadzenie w życie postulatów likwidacji dwuletniego stażu, bądź zmniejszenie go do jednego roku, by lekarz szybciej niż dotychczas mógł przystąpić do pracy zawodowej.

— Rozwój wiedzy medycznej był najważniejszym, ale chyba nie jedynym powodem reformy studiów? Drugi to charakterystyczny dla naszego ustroju system społecznej służby zdrowia, której służyć mają absolwenci Akademii Medycznych. A więc sprawa wychowywania lekarzy — oliarnych społeczników a jednocześnie dobrych organizatorów powierzonych im odcinków. Czy studenci w trakcie studiów są przygotowywani do tej roli?

— Oczywiście. Odbывают oni zająć praktyczne nie tylko w klinikach i szpitalach miejskich, ale również na rejonach, w poradniach i innych placówkach powszechnych służby zdrowia. Organizacja powszechnej służby zdrowia jest jednym z przedmiotów teoretycznych, wykładowych na Akademii Medycznej. Na IV roku studenci zapoznają się z problemami profilaktyki podczas ćwiczeń w „kacji” sanitarno-epidemiologicznej. W tym roku zmieniliśmy profil zajęć z higieny. Większy nacisk został położony na choroby z wodowe, szczególnie najczęściej spotykane w łódzkim regionie przemysłowym.

— Nasza Akademia Medyczna jest jedną z największych uczelni tego typu w kraju. Ilu studentów kształci obecnie?

— Ponad dwa tysiące na dwóch wydziałach: lekarskim z oddziałem stomatologicznym i farmaceutycznym. Każdego roku przyjmujemy około 400 nowych słuchaczy, 180 na medycynę, 100 na stomatologię i 120 na farmację.

— Czy studia medyczne cieszą się wciąż jednakowym powodzeniem czy też atrakcyjność zawodu lekarza nieco w społeczeństwie zmalała?

— Nie zmalała. Ciągłe na jedno miejsce lekarskie przypada około czterech kandydatów. Ostatnio zano towaliśmy także wzrost chętnych na studia farmaceutyczne.

— Czy absolwenci obawiają się

pracy w małych miasteczkach i na wsi?

— Te obawy wywodzą się głównie z lęku przed złymi warunkami mieszkaniowymi, a także przed odpowiedzialnością za podjęte obowiązki. Myślę, że efekty zreformowanego systemu studiów, większa praktyka uzyskana już na uczelni, wpłyną w dużym stopniu na przełamanie tego lęku. Czynniki poza tym starania, by przyszłych lekarzy powiązać bliżej z terenem już w czasie studiów. Chcemy, aby jak najwięcej studentów korzystało ze stypendiów instytucji terenowych. Ostatnio odbyło się spotkanie dyrektorów tych stypendiów ze studentami, będą też organizowane wycieczki w teren.

Myślę, że na tym odcinku dobrą rolę spełniają nasze letnie obozy społeczno-wychowawcze, organizowane przez ZMS i ZSP w bardziej ubo-

LEKARZ -społecznik to naczelne zadanie

gich w placówce lecznictwa miejscowościach. Studenci pod opieką pracowników naukowych (na 10 studentów przypada 1 specjalista) udzielają pomocy lekarskiej miejscowej ludności. Na przykład w Sielpi, w województwie kieleckim każdego roku mieszkańcy czekają na łódzkich studentów.

Uważamy nawet, że te ze wszechmiar pozytywne spotkania z pacjentem, wiejskim powinny uzyskać rangę miesięcznych praktyk. Są one istotne nie tylko ze strony wychowawczej ale i naukowej.

— Jak Pan Rektor ocenia poziom dydaktyczny młodzieży uczelni?

— Uważam, że nasze organizacje młodzieżowe jak ZMS, ZSP, ZMW i inne, działają dość aktywnie mimo, że medycy mają dzień wypelniony nauką całkowicie. Działają koła naukowe, dość żywa jest też praca kulturalna. Dyskusja nad metodami wychowawczymi trwa nadal. Organizujemy spotkania władz uczelni z przedstawicielami organizacji młodzieżowych. Osobiście reprezentuję pogląd, że nadmierne prowadzenie za rękę nie jest dobre, a w wypadku uczelni wychowanie typu szkolnego — nie najwłaściwsze. Jesteśmy zwolennikami prowadzenia młodzieży, ale poprzez samowychowanie, poprzez organizację młodzieżową, poprzez oddziaływanie młodych na młodych.

Wychowanie obywatelskie, społeczne jest warunkiem sine qua non wy-

chowania politycznego, jego pierwszym etapem. Jesteśmy w tej szczególnej sytuacji, że wychowanie obywatelskie leży w programie naszej uczelni, ideały powszechnej służby zdrowia są częścią składową programu studiów, a naczelnym hasłem lekarza — dobro człowieka.

— Łódzka Akademia Medyczna, choć powstała po wojnie, ma już bogaty dorobek naukowy, który liczy się nie tylko w naszym mieście. Pan Rektor prowadzi jedyną — chyba w kraju — katedrę endokrynologii. Czy jeszcze coś wyróżnia naszą uczelnię medyczną?

— Siegając do czasów trochę dawniejszych warto przypomnieć, że z naszej uczelni wydzieliły się dwie poważne placówki: Wojskowa Akademia Medyczna i Instytut Medycyny Pracy, dzieło pierwszego rektora Akademii prof. Palucha, placówka powstała na gruncie przemysłowej specyfiki Łodzi.

Istotnie, w tej chwili katedra endokrynologii z kliniką, w której prowadzone są systematyczne zajęcia ze studentami, jest jedyną w kraju. Możemy się pochwalić również katedrą kardiologii prowadzoną przez prof. Mollę, jedną z nielicznych w kraju, dokonującą z powodzeniem operacji na otwartym sercu. Możemy być dumni z osiągnięć katedry neurochirurgii, ortopedii, psychiatrii, laryngologii i innych.

— Panie Rektorze, jakie są perspektywy rozwoju bazy materialnej uczelni?

— Ogólnie mówiąc — baza ta jest niedostateczna. W najgorszych warunkach pracuje stomatologia, rozmieszczona w pałacach i domach czynszowych. Już wkrótce radykalnie poprawią się warunki wydziału farmacji, który w początkach lutego wprowadzi się do pierwszych dwóch nowoczesnych, zapewniających odpowiednie warunki pracy naukowo-badawczej, gmachów. Dalsze budynki oddawane będą sukcesywnie.

I kwietnia ruszy zorganizowany ostatecznie ośrodek naukowo-badawczy wyposażony w nowoczesną aparaturę do badań histochemicznych i izotopowych. Znajdzie się tam scyntylator (ma nadejść do Łodzi w grudniu) — aparat do wykrywania lokalizacji izotopów w ustroju ludzkim, na przykład jodu — promieniotwórczego. Chcielibyśmy też zdobyć dla tego ośrodka nowoczesny mikroskop elektronowy.

W tym roku uruchomiliśmy zakład anesteziologii, który pod kierunkiem doc. Sztengerta skupi wszystkich anesteziologów AM.

Największą jednak naszą potrzebą jest budowa centrum kliniczno-badawczego, na które złoży się szpital o 1.200 łóżkach, laboratoria, znajdą pomieszczenia wszystkie katedry, sale wykładowe itd. Jeśli instytucja naukowo-lekarska ma się rozwijać, musi mieć scentralizowane katedry, to prawda dawno znana. Dążymy do budowy takiego centrum przy poparciu władz partyjnych i rządowych i mam nadzieję, że cel ten osiągniemy.

— Zyczymy tego serdecznie — tak że we własnym interesie i dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiała:

TERESA WOJCIECHOWSKA

Plastyka, wojsko, nauczyciele

Z inicjatywy Związku Nauczycielstwa Polskiego, Kuratorium Okręgu Szkolnego i Okręgowego Ośrodka Metodycznego w Łodzi — już po raz czwarty odbyła się w Dniach Nauczyciela doroczna, konkursowa wystawa pod hasłem: „XXV rocznica powstania ludowego Wojska Polskiego w malarstwie łódzkich nauczycieli”. Hasło nie jest zbyt precyzyjne, jako że oprócz malarstwa wystawa obejmuje inne dziedziny plastyczne — grafikę i rzeźbę, a także prace z zakresu fotografii.

W wystawie wzięli udział nauczyciele wszelkich specjalności, a więc nie tylko ci, którzy uczą rysunku. Dla przykładu: pierwszą nagrodę w zakresie grafiki przyznał Horstowi Schebelowi, ruscyciele. Pierwszą nagrodę w dziedzinie malarstwa otrzymał nauczyciel szkoły specjalnej, Andrzej Kwieciński.

W dziedzinie rzeźby nagrody nie przyznano, zapewne dlatego, że swoje prace w tym zakresie przedstawili tylko dwaj wymienieni wyżej laureaci, zaś w dziedzinie fotografii trzecią nagrodę zdobył Kazimierz Janaszek za fotografie o tematyce morskiej.

Wszystkie składające się na wystawę prace, a więc nie tylko te nagrodzone i wyróżnione, zadziwiają oryginalnością, pasją, która przebiega w wielu wypadkach po trafi nadrobić braki w zakresie kompozycji i techniki.

„Wspomnienia żołnierza i

Armii WP” (Ilmoryt Izabelli Michalak), „Powitanie żołnierzy polskich na wsi” (olej Zofii Sut), „Walka o Łódź” (olej Leopolda Kolodziejca), „Na przedpolach Warszawy” i „Studziński” (Ilmoryty Józefa Raczyka), czy „Żołnierski trud” (grafika Horsta Schebela) — to prace wzruszające, o dużym ładunku ekspresyjnym, którą warunkuje i wywołuje tragedia tematu. Do brzo się stało, że właśnie Wojsko Polskie jest treścią tej pięknej i jakże potrzebnej wystawy.

— Chodzi nam nie tylko o to, aby popularyzować tu, w siedzibie ZNP osiągnięcia twórcze artystów-nauczycieli — mówi Andrzej Gieraga, kierownik Sekcji Wychowania Plastycznego przy OOM. — Pierwszym celem naszych wystaw jest kształtowanie, podnoszenie poziomu estetycznego nauczycieli, uświadomienie im ich na sztukę w ogóle, a malarstwo w szczególności. Zapewne tak polonista, które mu znajomość innych, poza

literackich dziedzin kultury jest nieodzowna, jak i fizyk czy matematyk — dzięki obcowaniu z plastyką, a jeszcze bardziej dzięki jej amatorskiemu uprawianiu, potrafi nasycać swoje lekcje humanistycznymi treściami, związać specyfikę swoich przedmiotów z ogólnoludzkimi wartościami, oddziaływać głębiej, sugestijwnie.

Nie sposób odmówić tym argumentom racji. Wkraczamy podobno w erę wielkiej specjalizacji. Ale nauczyciel nie powinien ograniczać się tylko do swojego przedmiotu. Pełnia intelektualnego rozwoju młodzieży, jej poczucie estetyczne i moralne wymagają szerokiego oddziaływania w zakresie każdego przedmiotu tak, aby młody człowiek wychodził ze szkoły ze znajomością literatury i czytania, ale także z umiejętnością patrzenia na sztukę i słuchania muzyki.

M.W.

Problemy nauki i nauczania w środowisku wielkoprzemysłowym



Dalszy ciąg ze str. 1

tycznego, geograficznego i socjologicznego, łódzkiej demografii i ekonomii, szeregu dyscyplin medycznych, łódzkiego ośrodka badawczego we włókiennictwie, papiernictwie, czy też włóknach sztucznych. Wyrazem tych sukcesów są setki cennych naukowych nagród i wyróżnień, publikacji, patentów, metod technicznych i wzorów użytkowych.

Pośrednio o osiągnięciach łódzkiej nauki i szkolnictwa świadczą najlepiej wyróżniające się, nierzadko przodujące w kraju wyniki pracy naszej kultury, oświaty, ochrony zdrowia, nade wszystko zaś — przemysłu. Wiele łódzkich zakładów przemysłowych zajmuje w swoich branżach i grupach wyrobów pozycję czołową. W obu dziedzinach posiadających w obecnej fazie rozwojowej kluczowe znaczenie dla gospodarki narodowej — w intensyfikowaniu procesów wytwórczych i w rozszerzaniu ekonomicznie istotnej produkcji eksportowej — łódzki przemysł legitymuje się efektami wyższymi, albo i znacznie wyższymi od średniokrajowych. A wyniki te są szczególnie cenne, gdyż zostały uzyskane w większości w gałęziach przemysłu tradycyjnego, gdzie o nie zawsze stosunkowo trudniej, w zakładach pracujących z reguły w warunkach ciężkich, albo bardzo ciężkich, bez należytego wyposażenia w nowoczesną bazę techniczną. O wysokich wynikach zdecydowali więc ludzie, załogi, kadra techniczna i organizatorska, ich wiedza, zapał, oddanie sprawie i znana pracowitość.

DEFICYTY I DYSPROPORCJE

Pomimo mogących stanowić przedmiot usprawiedliwionej dumy osiągnięć i dynamiki łódzkiego ośrodka nauki i szkolnictwa wyższego, stan zaspokojenia potrzeb na świadczone przezeń usługi jest daleki od zadowalającego. Notujemy tu nadal wiele, nieraz coraz to dotkliwszych słabości, luk i deficytów. Zaczniemy od wyposażenia gospodarki i kultury w wysoko kwalifikowanych specjalistów — w znacznej mierze funkcji rozmiarów i struktury szkolnictwa wyższego. Skale słabości i braków w tej dziedzinie na terenie naszego miasta i regionu ukazuje poniższe zestawienie statystyczne.

Pracownicy z wyższym wykształceniem na 1000 zatrudnionych w gospodarce społecznej w 1964 r.

Wyszczególnienie	Ogółem	Przemysł	
		Inżynierowie	ekonomiści.
Polska	43	12,0	2,6
Warszawa	98	24,3	4,4
Kraków	98	21,2	6,8
Poznań	77	17,8	5,4
Wrocław	81	18,1	4,8
Łódź	48	9,9	2,4
woj. katowickie	32	12,1	2,0
woj. gdańskie	52	18,9	3,9
woj. warszawskie	40	14,6	2,3
woj. poznańskie	25	7,4	2,0
woj. łódzkie	24	6,7	1,8

Zestawienie nie daje jak widać podstaw do optymistycznych wniosków. Nasylenie gospodarki i kultury Łodzi w kadry wysoko kwalifikowane było w 1964 r. zdecydowanie najniższe w porównaniu z pozostałymi 4 największymi porównywalnymi miastami kraju, nawet niższe od osiągniętego średnio przez niektóre wysoko rozwinięte województwa (np. woj. gdańskie) i tylko minimalnie przewyższało wskaźnik ogólnopolski. Nasylenie województwa łódzkiego zaliczało się do najniższych w kraju i charakteryzowało się wskaźnikiem wynoszącym niewiele ponad połowę wartości wskaźnika ogólnopolskiego.

Jeszcze gorzej pod względem kwalifikacji kadr specjalistycznych przedstawiała się sytuacja w przemyśle,

Wypośażenie przemysłu łódzkiego w dwie podstawowe grupy specjalistów z wyższymi wykształceniem — inżynierów i ekonomistów — było, mimo zlokalizowania w Łodzi zarządów kilkunastu branż przemysłowych, wyraźnie niższe od średniego dla kraju i w sposób rażący ustępowało przemysłom nie tylko innych największych miast wydzielonych, ale również większości uprzemysłowionych województw. Województwo łódzkie zajmowało pod tym względem alarmującą pozycję krajowego autsajdera. Niekiedy jako usprawiedliwienie tego rodzaju dysproporcji podaje się dominowanie w strukturze przemysłu i Łodzi i województwa gałęzi włókienniczych, ponoć nie wymagających tak wysokiego jak gałęzie inne udziału kwalifikowanych kadr technicznych i ekonomicznych. Usprawiedliwienie to, jeśli nawet w okresach ubiegłych miało za sobą pewne racje, dzisiaj utraciło je lub traci całkowicie. Decydują o tym i głębokie przeobrażenia w międzygałęziowej strukturze gospodarki łódzkiej i w nie mniejszym stopniu — dokonująca się już, a tym bardziej oczekiwana w latach najbliższych techniczna i organizacyjna rekonstrukcja gałęzi włókienniczych.

Nie nadążająca za potrzebami dynamika i luki cechują także naukowe zaplecze gospodarki. Nakłady przemysłu łódzkiego na badania naukowe kształtują się poniżej porównywalnych nakładów w innych wielkich przemysłowych centrach kraju. W ostatnich latach tempo wzrostu zaplecza naukowego przemysłu w Łodzi było niższe od tempa charakteryzującego cały przemysł krajowy, jakkolwiek to ostatnie jest uważane coraz powszechniej za niedostateczne. W świetle zmian dokonanych już i planowanych w strukturze gałęziowej przemysłu łódzkiego występuje wyraźny niedorozwój zaplecza naukowego dla potrzeb koncentrującego się w naszym mieście coraz silniej przemysłu aparatów elektrycznych i maszyn włókienniczych. Ogólna bolączka wszystkich działających w Łodzi gałęzi przemysłowych jest niedostateczne zaplecze zakładowe. W całym potencjale naukowym przemysłu niezwykle słabo jest reprezentowany sektor badań ekonomicznych. Tkwi tu, jak sądzę, jedna z poważnych przyczyn niewielkiej aktywności przemysłu łódzkiego, a zwłaszcza jego branż włókienniczych i pokrewnych, w poszukiwaniu i eksperymentowaniu nowych rozwiązań doskonalących system planowania i zarządzania.

ROZWOJOWE POTRZEBY

Plany i zamierzenia rozwojowe łódzkiego ośrodka szkolnictwa wyższego i nauki na lata najbliższe przedstawiają się dość ambitnie. Pomyślnie też przebiegała dotychczasowa realizacja przynajmniej niektórych ich części. W 1970 r. ogólna liczba studentów w uczelniach łódzkich miała wzrosnąć do 23 tys. osób, a więc o 27,4 procent w stosunku do stanu z 1965 r. W ustaleniach planistycznych zakładano, że tempo to będzie wyższe od średniego dla ogółu uczelni w kraju. Dziś wiadomo, że zadania bieżącej pięciolatki zostaną w tej pozycji przez uczelnie łódzkie poważnie przekroczone. Pomimo dotkliwego deficytu podstawowych środków działania — naukowej kadry i bazy materialnej — uczelnie pod naciskiem potrzeb miasta i regionu już w roku bieżącym kształcą o blisko 2 tys. studentów więcej od planowanej docelowej ich ilości na koniec pięciolatki. Aktualne zamierzenia dla 1975 roku wynoszą 29 tys. osób. Jeszcze wyższe tempo wzrostu, wobec zmian w planach studiów, zmian strukturalnych (rozwoj) studiów zawodowych), poprawy wskaźników sprawności, przewiduje dla liczby kończących studia. Planuje się, iż łączna ich ilość w Łodzi powinna wzrosnąć z 1.800 w 1965 r. do 3.100 w 1970 r. i 3.900 w 1975 r. Planuje się znaczną rozbudowę bądź tworzenie tych kierunków studiów, które zaliczają się na naszym terenie do najbardziej deficytowych dzisiaj i tym bardziej perspektywicznych.

Powyższe zamierzenia rozwojowe na lata najbliższe i pięciolatce następne charakteryzują łódzkie zaplecze naukowe przemysłu i całej gospodarki. Większość

wchodzących w jego skład jednostek ma rozwijać się szybko, a niekiedy wręcz skokowo. Zostały podjęte ważne dla łódzkiej gospodarki i naukowego ośrodka decyzje o powstaniu nowych dużych państw naukowo-badawczych o zasięgu ogólnokrajowym i lokalnym.

Ogromne znaczenie dynamicznego rozwoju ośrodka łódzkiego, a także ocena stopnia dostateczności tego rozwoju, wynikają nie tylko z powstałych tutaj deficytów i dysproporcji. Na kwestie te musimy dzisiaj patrzeć przez pryzmat rysujących się coraz wyraźniej perspektyw rozwojowych miasta i regionu, ich gospodarki i kultury. A perspektywy te są szczególne. Bez żadnej przesady można powiedzieć, że gospodarka łódzka wkraczać zaczyna w tempie narastającym w fazę gruntownej rekonstrukcji i przyspieszonego wzrostu. Takiego rozmachu i tak obiecujących perspektyw nie notowała ona przez lat bardzo wiele. Złożyły się na to zarówno pomyślnie okoliczności obiektywne, co i przyczyny natury subiektywnej. Szansą jaką dla miasta powstała na skutek ogólnogospodarczej potrzeby radykalnego unowocześnienia a w niektórych przypadkach — także szybkiego rozwoju gałęzi tzw. przemysłu lekkiego, jak też na skutek szczególnych pomyślnych perspektyw eksportowych przemysłów innych mieszczących się na terenie Łodzi, władze polityczne i gospodarcze naszego miasta potrafiły przełożyć na język konkretnego, solidnie uargumentowanego programu rozwojowego.

W myśl tego programu wzrost wartości produkcji towarowej w podstawowych branżach łódzkiego przemysłu włókienniczego i pokrewnych ma wynieść w latach następnej pięciolatki około 46 procent przy spadku zatrudnienia o 6 procent. Będzie więc wzrost ten osiągnąć wyłącznie drogą intensywną — poprzez wzrost wydajności pracy. Tempo wzrostu przemysłu elektromaszynowego, przejmującego w coraz większym stopniu odpowiedzialność za dynamikę i przyszłość gospodarczą miasta, ma kształtować się nieporównanie wyżej i wynieść aż około 110 procent. Używanie tych efektów, a także stopniowe odrabianie zaległości w gospodarce mieszkaniowej i komunalnej będzie wymagać zainwestowania w następny pięciolatek ogromnej kwoty przeszło 30 mld zł. Jest to o ponad 55 procent więcej niż przypuszczalnie zostanie zainwestowane w dość pomyślną dla Łodzi pod tym względem pięciolatke obecnej. Już w najbliższym 1969 roku planuje się inwestycyjny „skok” rzędu 20 procent w stosunku do roku bieżącego.

Dynamika gospodarcza tego rzędu stwarzać będzie wzrost zapotrzebowania na wysoko kwalifikowane kadry i badania naukowe ze znacznym przyspieszeniem. W razie niesprostania zapotrzebowaniu pojawi się czynnik negatywny, z większą albo mniejszą siłą hamujący zamierzony rozwój, przede wszystkim jednak — obniżający jego efektywność i z kolei atrakcyjność ogólnospołeczną. Fakt ten oraz dotychczasowe w tej dziedzinie opóźnienia i dysproporcje wymagają ujawnienia i uruchomienia wszelkich rezerw, aby istniejące plany szkolnictwa wyższego i nauki nie tylko w pełni zrealizować, ale również jak najwyżej przekroczyć. Będzie to zależeć od wielu warunków i skoordynowanych, współzależnych działań, w pierwszym rzędzie — od pomyślnego rozstrzygnięcia trzech najbardziej nabrzmiałych problemów:

- bazy materialnej;
- rozwoju kadr naukowych;
- planowego sterowania i organizacji badań naukowych.

BAZA MATERIALNA

Braki w wyposażeniu łódzkiego ośrodka naukowego tak uczelnianego jak i pozauczelnianego w bazę materialną: lokalową i aparaturową, są ogromne. Dotychczasowe nakłady na ten cel, mimo iż ośrodek powstał bez bazy odziedziczonej, nie pozostawiały w jakiegokolwiek należytej proporcji względem rzeczywistych, nie budzących wątpliwości społecznych potrzeb. Nie dysponują dostatecznie szczegółowym materiałem statystycznym, myślę jednak, iż nie popełnię większej nieścisłości twierdząc, iż nakłady inwestycyjne na szkolnictwo wyższe w Łodzi pozostawały w okresie minionych 10 lub 15 lat na poziomie najniższym lub prawie najniższym w porównaniu z nakładami w 7 czy 8 większych ośrodkach akademickich kraju. Nieco pomyślniejsza pod tym względem pięciolatka bieżąca nie będzie w stanie usunąć nawet bolączek najbardziej dotkliwych.

Zasadniczy przełom ma przynieść dopiero pięciolatka następna. Postulowane w niej nakłady rzędu 1,2—1,5 mld zł na oba czony ośrodek łódzkiego, chociaż w zestawieniu z dotychczasowymi wydatkami są niewątpliwie wysokie, w samej rzeczy są uzasadnione w pełni albo nawet wręcz konieczne. Tylko przy ich utrzymaniu stanie się realne rozwiązanie tak palących a zarazem kluczowych dla miasta i regionu kwestii, jak budowa nowoczesnej bazy dla uniwersyteckich instytutów fizyki i chemii, dalsza rozbudowa i unowocześnienie wyposażenia podstawowych wydziałów politechnicznych, budowa zespołu klinik Akademii Medycznej, budowa pomieszczeń i właściwe wyposażenie Instytutu Włókiennictwa, rozbudowa naukowo-badawczego zaplecza dla maszyn włókienniczych, włókien syntetycznych i papiernictwa, utworzenie niezbędnego zaplecza w przemyśle gumowym i aparatów elektrycznych.

KSZTAŁCENIE NAUKOWEJ KADRY

Wzłowe zadanie kształcenia kadry naukowej dla potrzeb tak własnych, jak i placówek pozauczelnianych: instytutów, centralnych laboratoriów, biur projektowych, jednostek zakładowych, spoczywa w warunkach dzisiejszych przede wszystkim na szkolnictwie wyższym. Stąd między innymi, wypływa jego centralna rola w każdym kompleksowym ośrodku naukowym i konieczność zapewnienia właściwych wyprzedzeń w jego rozwoju.

W okresie ostatnich lat dokonał się w uczelniach łódzkich poważny postęp w kształceniu młodej kadry. Niektóre zakłady i katedry legitymują się w tej materii wynikami zasługującymi na najwyższe uznanie. W sumie nie jest to jednak rosnący na miarę potrzeb aktualnych i tym bardziej najbliższej perspektywy. W dyscyplinach wymagających dynamiki najwyższej, a więc w pierwszym rzędzie — w naukach ścisłych, technicznych i ekonomicznych, potrzeby wydają się

Dalszy ciąg na str. 4

INNE DZISIAJ DROGI

Pan Kazio, ten, co nigdy nie śpi w sanitarce i kierowcy wiedzą o tym doskonale, bo kiedy noc zaczyna sklejać oczy, proszą: „Kazio, śpij!” albo „Zaspij!”; pan Kazio, sanitariusz, numer służbowy: 2, siwiejące włosy, osiemnaście lat nieprzerwanej pracy w skierniewickim pogotowiu ratunkowym, opierając się łokciem o stół woła na całą dyżurkę:

— Ja zawsze chorego sprzedam!
I zaraz dodaje konfidencjonalnie, ciszej, aby, Boże broni, ktoś nie pomyślał sobie, że to przechwałka tylko:

— Jak co, szpital na strach biore.
Jego warszawski, niefałszywany akcent tłumaczy prawie wszystko. Jest po części warszawiakiem.

Najlepsze lata swego życia, całą młodość przedreptał z tacą i ściereczką w stołecznej restauracji „Pod wiechą”. Dobra szkoła. Przychodzili tam artyści i od nich uczył się fantazji. Potem przyszła wojna. W Warszawie był spalony, więc przyszedł do Skierniewic, rodzice tam mieszkali. Po wojnie znowu szukał szczęścia na stołecznych brukach, ale o mieszkaniu było trudno. Więc osiadł na stałe w pół drogi pomiędzy Łodzią i Warszawą: sanitariusz w skierniewickim pogotowiu. Wytrzymał się w starych, zdezelowanych amerykańskich dodgeach, a kiedy poszły na złom, szczęśliwie zaliczył etap czeskiej skody. Potem przesiadł się na warszawę. To wszystko było jeszcze lepszą szkołą życia.

Udawało mu się. W trudnych, nerwowych warunkach terenowej jazdy, we mgle, na sygnale, karetki często ulegają rozbiciu. Jego, Kazimierza Stodkiego, wypadki omijały. Więc ma prawo dworować sobie, kiedy tłumaczy:

— Ja nie mam worka na gnaty, żeby w Kraków wpaść.

Później dodaje jeszcze, że przeciwnie, światła, to mogłyby jednak w karetkach być, łatwiej by się jechało.

— A co, może nie? — Bierze na świadka Józefa Gradowskiego, kierowcę, z którym wyjeżdżał razem jeszcze w pierwszych latach istnienia pogotowia w Skierniewicach.

Alle jego towarzysz nie ma buńczucznego temperamentu pana Kazia. Kiwa tylko głową i skarży się na śniegi, które jak spadają, to drogi nie można odróżnić od zawianego pola.

— Odkopywanie było i jest, zawsze się z łopatą jeździ.

Doktor Sobczykiewicz, kierownik powiatowej stacji pogotowia, oprowadza mnie po swojej skromniutkiej siedzibie. Pokazuje nowe, lśniące mebelki, otwiera szafki z instrumentami, prowadzi wreszcie do pokoju noszowych, gdzie na honorowym miejscu ustawiono telewizor.

Ja mówię:

— Trochę tutaj ciasno.
— Ciasno? — Dziwi się doktor. — To trzeba było do nas przyjechać przed rokiem, przed przeprowadzką do tego lokalu.

Przeprowadzka wstrząsnęła stacją, ale nie przerwała jej pracy. Na czas przewozu gratów czynne były dwie dyspozytornie, w starym lokalu i nabytym. Lekarze, noszowi, pielęgniarki sami rozstawiali meble, wbijali gwoździe, wieszali szafki i tablice.

Podeszliśmy do mapy, sztabowej setki, na której odnalezć można naniesiony każdy większy kamień, bo chciałem poznać promień zasięgu pogotowia. I wyszło, że to coś koło pięćdziesięciu kilometrów. A doktor tłumaczy:

— Nie odległości są tu najważniejsze, choć nasze karetki nie posiadają radia i to na pewno osłabia skuteczność niesionej przez nie pomocy. Najważniejsze jest oznakowanie domów na wsi.

Rzecz w tym, że chałupy na wsi, jeśli w ogóle posiadają jakieś numery, ukrywają je tak wstydliwie w najbardziej nieoczekiwanych miejscach, że praktycznie mało z nich pożytku. Jedzie karetką do Świętych Łasków. Głęboka noc, nigdzie żywej duszy i tylko psy ujadają po łożach. Warszawa zatrzymuje się, reflektory wymacują w ciemności czarną płaszczyznę zabudowań. Anonimowe, żadnej, choćby najskromniejszej tabliczki. Sanitariusze biegną, walą w okna, budzą gospodarzy.

— Siedzieli wam powiedzieli!
W kolejnej chałupie także odsyłają karetkę do sąsiadów. Minuty biegną. I znow bez rezultatu. Trzeba było obudzić pół wsi, żeby wreszcie odnaleźć dom chorego.

Tak jest bardzo często. Zaczyna się sezon znow: wzrasta gwałtownie ilość okaleczeń. Dojrzejawia sady: mnożą się wezwania chorych, którzy spadli z drzewa, na oddziale ortopedycznym usztywnia się połamane kręgosłupy. W dni weekendowe zespoły wypadkowo-chorobowe jeżdżą zabierać rozbitek z szos. W najbardziej nieoczekiwanych porach pogotowie wyjeżdża do zupełnie nieuzasadnionych albo wręcz fałszywych wezwań.

— Mam uspieć, to mi się należy — słyszę w takim wypadku ludzi, którzy „nie śpią, aby spać mógł ktoś”. Przywykli już do tego, już ich to nie dziwi, najwyżej jakiś bardziej krewki noszowy cholewę sobie pod nosem puści. Latem, pół biedy. Ale jak zimą przyjdzie całą noc rozkopywać śnieg, żeby uwolnić karetkę z lodowatej uwięzi, to już nikomu nie do śmiechu. Co prawda wypadki złośliwego, chuligańskiego wyzywania pogotowia są bardzo rzadkie, ale za to długo się je pamięta.

Zresztą pracy jest dość i bez tego. Diabło wyczerpującej, trzymającej w nieustannym napięciu. Żeby tylko w porę zdążyć na miejsce. W odległych, odcitych od

świata wsiach pogotowie jest jedyną szansą ratunku. A tu wystarczy byle defekt kichy przebitej zgubionym przez konie hacem, albo większe bioto, żeby na długie denerwujące minuty zaklinować karetkę na szosie.

— Szczególnie pechowa — wspomina pan Gradowski — jest wieś Bartniki. Tam prawie zawsze topimy się w błocie albo na dobre grzeźniemy w śniegu.

Przygodni ludzie na ogół śpieszą wtedy z pomocą. Naprężają się muskuly mężczyzn, a gdy to nie pomaga, zawsze znajdują jakieś konie, które za Bóg zapłać, uwalniają samochód z pułapki. Chyba że przeszkoda zaskoczyła karetkę w szczyrim polu, wtedy jej załoga jest zdana na siebie.

Szczególnie trudna i odpowiedzialna jest rola lekarzy stażystów, którzy pomimo pewnych niedostatków praktycznej wiedzy muszą nieść pełnowartościową pomoc chorym. Pierwsze samodzielne wyjazdy bardzo przeżywają, stopniowo jednak nabierają wiary w swoje siły. Doktor Alicja Szawłowska, absolwentka warszawskiej Akademii Medycznej, która nie mogła znaleźć dla siebie stażowego miejsca pracy w stolicy dojeżdża do Skierniewic i nawet nosi się z zamiarem osiedlenia się tu na stałe. Chwali sobie miejscowy szpital, a także doświadczenia pracy w pogotowiu. Właśnie wróciła karetką z terenu.

— No, jak tam było? — dopytują się koledzy.

— Nic nie było. Nieuzasadnione wezwanie — denerwuje się pani doktor.

Pan Kazio, dla którego nieuzasadnione wyjazdy to nie pierwszorzędna, macha tylko ręką. Bo czegoż on już nie widział w ciągu długich lat pracy, które dają mu taką znajomość terenu, że właściwie wszędzie trafiłby z zamkniętymi oczami!

I korzystając z tego, że telefon w dyspozytorni ciągle jeszcze milczy, znow sięga do wspomnień. No bo kto dziś jeszcze pamięta okres dodega z ledwie wiszącymi na zawiasach drzwiami? Nawet nikt nie zauważył, kiedy druty posuły i lekarz wypadł z karetki do rowu. Potem kierowca chciał do niego zagadać, a nie słysząc odpowiedzi spojrział na sąsiadnie siedzenie, gdzie już nie było nikogo. Zaczęli medytować w karetkę, co się mogło stać. Aż ktoś mówi: „Zawracaj, poszukamy doktora”. I rzeczywiście, znaleźli, jeszcze się nie zdążył dobrze wygramolić z rowu. Śmiać się im i płakać chciało na przemian. Założyli nowe druty na klamkę i pojechali do pacjenta, a lekarz po drodze otrząpywał się z piasku.

Wtedy ja pytam: — A porody wam się w karetkę zdarzają?

Doktor Szawłowska popatrzyła na dyspozytorkę, na pana Kazia, na kierowców i uśmiechnęła się: — Porodów to już nie liczymy. Dwa, zdaje się, mieliśmy tylko w ostatnim tygodniu.

Porody to ulubiony temat pana Kazia. Zresztą nieraz wypadło mu być akuszerem. Ma takie dzieci, powiada, odbierane przez niego w pogotowiu, które już chodzą na studia.

— Daleko to trzeba szukać? — Zapala się pan Kazio. — Choćby zawiadowcy dziewczyna. Ile razy ją spotkam, śmieję się: „Kobieto, ja ciebie za głowę trzymam!”.

Ten zapal udziela się. Teraz już wszy-

scy w dyspozytorni proszą: „Opowiedziałby pan co jeszcze, panie Kaziu!”.

Pan Kazimierz wzbrania się trochę.

— E, co mi tam, na rentę już odchodzę.

Ale czuje, że wszyscy na niego patrzą, więc trochę mięknie. Najpierw opowieść rwie mu się trochę, potem się rozkręca.

Ile razy musiał pod wagony wchodzić, wyciągać rannych albo zabitych, bo kolejarze dotknąć się nie chcieli, uciekali przed widokiem krwi. Raz pojechał do takiego wypadku w burzę, sieki deszcz i były pioruny, ludzie kryli się po kątach, wchodzili w ostatnią dziurę. Musiał sam szukać tego wagonu. Wczółgał się, poświęcił latarką i wtedy dopiero znalazł ranego.

A szczególnie nieprzyjemne są wyjazdy do chorych psychicznie, bo wtedy już naprawdę nie wiadomo, co może człowieka spotkać. Pojechał pan Kazimierz do jednej wsi, wchodził z kierowcą do chałupy, a tu od progu powitał ich wrzask. W jednej znowu, kiedy podjechali, pół wsi było w chałupie, drugie pół chowało się za chałupą, tylko nikt nie wiedział, gdzie jest pacjent.

— A tamten do lasu uciekł — zaśmiał się pan Kazio.

Wypadki drogowe to także temat obfitujący w liczne przygody, opowiada więc pan Kazio o upadku ciężarówki z mostu, gdy nagle jak nie wyskoczy z pytaniem:

— Ale jak to jest, że w żniwa, albo gdy się kopie kartofle właściwie nie ma z chorowań i tylko do wypadków się jeżdżi?

Milczeliśmy wszyscy, pan Kazio także umilkł. Bo właściwie każdy dzień pracy pogotowia to osnowa jakiś dramatycznych, życiowych zdarzeń, tragedii. Statystyki pogotowia należą do najbardziej smutnych książek.

Alle też walor pracy pogotowia polega na tym, że jeżdżą ratować, że z pełnym poświęceniem niosą pomoc potrzebującym.

— U nas nie ma odmowy wyjazdów — informuje doktor Sobczykiewicz. — Od rana do wieczora niesie pomoc jeden zespół wypadkowo-chorobowy, w godzinach nocnych pracują dwa takie zespoły. Nie mamy już trudności z obsadą lekarską; pracują na nasze potrzeby nawet specjaliści II stopnia. Stacja dysponuje własnym ambulatorium zabiegowym. Także tabo nasz jest wysokiej jakości, 5 karetek, jedynym mankamentem jest brak radiofonizacji, choć wiele nam się w tej sprawie obiecuje. I mogę uczciwie powiedzieć, na podstawie mego kilkuletniego doświadczenia z pracy tutaj, że jeśli chodzi o profilaktykę podskiermiewiczką wiesz, zrobili ogromne postępy, mniej jest przypadków zaniechanych. Także drogi są na ogół dobre, przynajmniej główne drogi, prawda, panie Kaziu? — zwrócił się nieoczekiwanie doktor do najstarszego pracownika pogotowia.

Występując w charakterze eksperta pan Kazio zaciągnął się głęboko papierosem, chwilę zbierał myśli i wypowiedział się z głęboką powagą:

— Tak, inne są dzisiaj drogi w terenie. Lepsze. Ale z ludźmi rozmawiać bywa.

Problemy nauki i nauczania w środowisku wielko- przemysłowym

Dalszy ciąg ze str. 3

wciąż jeszcze rosnąć szybciej niż kadrowe możliwości ich zaspokojenia. Wykrycie, a następnie przewyższenie czynników hamujących i opóźniających kształcenie młodej kadry jest więc zwłaszcza tutaj zadaniem pierwszorzędnej wagi. Pomimo szerokiej i interesującej, na ten temat dyskusji zadanie to pozostaje nadal aktualne.

Czynników hamujących i opóźniających kształcenie kadry naukowej jest z pewnością szereg, przy czym stopień ich trwałości, bądź odwrotnie — możliwości skutecznego oddziaływania na nie ze strony organów partyjnych, państwowych i kierownictwa uczelni wydaje się być bardzo różny. W charakterze antybody działa ciągle obecny system stypendiów naukowych. Przewlekła i usztywniona pozostaje procedura przewodów szczególnie habilitacyjnych. Nie udało się wytworzyć dotąd w stopniu — jak sądzę — zadowalającej atmosfery i mechanizmów zapewniających poprawną selekcję młodej kadry i tworzącą rywalizację w jej środowisku. Nierzadko na skutek niedorozwoju kadrowego występuje dotkliwie przecię-

nie dydaktyczne młodych pracowników; brak jest zatem warunków dla szerszego wykorzystywania tak ważnych dzwigni rozwoju, jakimi są urlopy naukowe oraz staże. W ciągu ostatnich 5 lat tempo wzrostu liczby studentów w uczelniach łódzkich znacznie przewyższało tempo wzrostu kadry naukowo-dydaktycznej. Rosła więc liczba studentów przypadających na 1 pracownika naukowo-dydaktycznego. W 1967 r. w 3 największych uczelniach łódzkich (UL, PL, AM) ilość dydaktycznych godzin ponadwymiarowych i zleconych przekroczyła 130 tys., a niedobory kadrowe szacowano na blisko 500 osób. Również nierzadko intensywność badań i postępy w przegotowywaniu rozpraw mających przynieść naukowe stopnie są hamowane przez pozauczelniane, nie rozwijające pracownika zająca zarobkowe.

W liczbie czynników opóźniających rozwój obecnie i prawdopodobnie także w latach najbliższych na szczególną uwagę zasługuje struktura pracowników naukowo-dydaktycznych. Cechuje ją bowiem w wielu czy nawet w większości dyscyplin, w których potrzebna jest najszybsze tempo kadrowego rozwoju, nadmierna liczba pracowników młodych, zwłaszcza asystentów, stażystów, doktorantów, przypadających na jednego profesora i docenta. Skala dysproporcji często jest tak znaczna, że nawet przy dogodnych okolicznościach innych wyklucza nie tylko optymalną, ale niezbędną pomoc w przygotowywaniu dysertacji doktorskich i habilitacyjnych. A owe okoliczności inne — i to nie tylko obiektywne — też nie zawsze przedstawiają się pomyślnie. Aktywność profesorów i docentów w kształceniu swoich młodszych współpracowników i podopiecznych, zwłaszcza zaś w doktryzowaniu, jest zróżnicowana bardzo silnie. Obok posiadających w tej dziedzinie osiągnięcia znaczne, nie należą do wyjątków tacy profesorowie i docenci, którzy nie legitymują się na przestrzeni 5 lat albo i więcej ani jednym zakończonym doktoratem. W takiej sytuacji eksponowanie wyników w kształceniu doktorów i docentów jako wiele znaczącego kryterium przy ocenie pracowników tzw. samodzielnych wydaje się nadal aktualne i potrzebne.

STEROWANIE I ORGANIZACJA BADAŃ

Selektywna inspiracja i wytyczanie badań w kierunkach dla kraju priorytetowych, ich racjonalna koncentracja i koordynacja — to istota planowego

kierownictwa w tej dziedzinie. Bez konsekwentnego rozwiązania tego z pewnością nielatego dylematu nie można liczyć ani na rzeczywiste poważne sukcesy naukowe, ani też na efektywne wykonywanie przez naukę jej podstawowej funkcji — służenia praktyce gospodarczej i społecznej. W Polsce, a więc i w ośrodku łódzkim, pomimo trwających szereg lat wysiłków, kwestia ta nie przedstawia się najlepiej. Ciągłe jeszcze pozostajemy w fazie „prób i błędów”. Z dużym naciskiem podkreślają to Tezy na V Zjazd PZPR, szeroko mówił o tym W. Gomułka podczas niedawnego spotkania ze społecznymi i kierowniczymi aktywem nauki polskiej.

Planowa inspiracja i wytyczanie badań o charakterze podstawowym, koncentrujących się w ośrodku łódzkim przede wszystkim w uczelniach, jakkolwiek możliwe i celowe, powinny być jednak, w moim przekonaniu, dokonywane z maksymalną rozważą, w miarę gromadzenia doświadczeń i umiejętności, z unikaniem środków administracyjnych. Główny nacisk trzeba tu położyć na rozwinięcie kontaktów i przepływu informacji pomiędzy placówkami badawczymi a właściwymi organami planowania i jednostkami gospodarczej praktyki, co obecnie nie przedstawia się najlepiej, oraz na wykształcanie narzędzi oddziaływania pośredniego. Nie ma zatem, jak sądzę, potrzeby wiązania inspiracji ze sformalizowanym systemem bieżącego, wieloszczeblowego i szczegółowego planowania badań.

Nowoczesne, efektywne badania stosowane, wdrożeniowe, wymagają dziś w coraz większej ilości dziedzin znacznej, albo nawet bardzo znacznej koncentracji sił i środków. Fakt ten, jak też bezpośredni związek badań stosowanych z gospodarczą i społeczną praktyką, rodzą szczególną potrzebę planowego, maksymalnie konsekwentnego i dokładnego wyboru kierunków i problemów badawczych. Zakładają też w realizacji centralnych bądź gałęziowych (lokalnych) planów badań wykorzystywanie o wiele bardziej rozbudowanego i silnego wachlarza środków i transmisji.

Efektywna organizacja badań stosowanych wymaga również pewien problem szczegółowy, dla ośrodka łódzkiego, moim zdaniem, ważny. Jest nim udział w tych badaniach potencjału uczelnianego, w niektórych dyscyplinach (np. ekonomicznych) ilościowo i jakościowo dominującego. Badania podstawowe, teoretyczne — jakkolwiek bynajmniej nie zawsze jest łatwo przeprowadzić wyraźną granicę pomiędzy nimi a bada-

EDWARD PAŁCZYŃSKI

Słoneczko, karczemka — dwa podarki boże

Robiłem ostatnio rekonesans po starych karczmach i zajazdach. Chciałem przekonać się w jakim stanie przetrwały do naszych czasów. Najstarsze i najładniejsze okazały się postawione utrwalić na taśmie filmowej.

Niewiele ich pozostało. A przecież w dawnej Polsce, prawie w każdej wsi stała karczma i to czasami nie jedna. „Jest w tej wsi karczmarzów trzech, placą czynszu na św. Marcina florenów dwa”.

W miastach, miasteczkach, na skrzyżowaniu dróg, przy większych traktach stały karczmy-zajazdy, dysponujące pokojami gościnnymi, stajniami i wozowniami. Prawie wszystkie one imponowały wysokimi dachami o wyszukanych kształtach, oraz podcieniami wspartymi na kolumnach. Bo „karczma bez podcienia jak człowiek bez sumienia”.

Wielce dorodnym przedstawicielem takiej karczmy jest zajazd w Sławkowie — miasteczku leżącym obok szosy z Olkusza do Bedzina. S'oi w rynku, podobny raczej do szlacheckiego dworku niż do karczmy. Biały, murowany z wielkim, łamanym dachem i podcieniem wspartym na sześciu cylindrycznych kolumnach.

Lewe skrzydło zajmuje ognisko TKKF, w prawym są mieszkania prywatne. Pośrodku budynku usytuowana jest duża brama przez którą wjeżdżano do tzw. stanu czwili stajni i wozowni.

Niestety, pomimo pięknej sylwetki, wnętrze zapomnianej karczmy straszy pustką.

Inny obszerny zajazd w Krzywaczce — przy szosie z Krakowa do Wadowic. Do stanu w którym gospodarzy kółko rolnicze, prowadzi dwie murowane bramy. Od frontu, pracuje i mieszka jeden z ostatnich przedstawicieli zamierającego fachu — kołodziej.

I tak dożywają swoich dni dwa symbole z epoki drewnianych kół.

PROMNA — obok Białobrzegów przy szosie radomskiej. Piękny olbrzymi zajazd, którego uroda została zniekształcona przez rozbiorę prawego skrzydła. Z ośmiu masywnych kolumn pozostały cztery. Całość jest bardzo zaniedbana, a lokatorzy żyją konserwatorami wszystkich plag cielesnych.

Odjeżdżam gubiąc obraz okaleczonej karczmy zatopiony w stawie.

OSTRÓW — parę kilometrów za Przemyślem. Zatrzymujemy się

przed największym chyba zajazdem jaki nam pozostał. Niezbyt urodziwy. Podobny do bangaru. Mierzyłem go prowizorycznie krokami — wypadło 40 metrów długości i 25 metrów szerokości. Można nawracać w nim swobodnie kilkoma wozami. Poza tym jak żaden inny istniejący zajazd, posiada on wewnątrz głęboką studnię. Być może karczmarz przygotowywał się do obłożenia. Ale

stypy. Świątowano zapusty i dożynki. Politykowano, brano się za igras, plotkowano i tańczono do upadłego.

Albowiem „karczmarz ma mieć muzykę zwyczajną, dudę i skrzypką, którym tanecznicy plać, osobliwie ci, którzy w tańcu przodkują”... gdyż „szynk bez muzyki, wóz bez smarowidła, taniec bez dziewczki za nic stoi”.

Jest jedna taka szynkownia w cudo-karczmie. Otóż gdy licznik „nysy” wybił ponad 2000 km dysponowałem już dość obszerną dokumentacją, ale dopiero w JELESNI — olbrzymiej wsi obok Żywca, ujrzalem tę Najpiękniejszą.

Stała w rynku, wielka lecz harmonijnie zbudowana. Cała z drewna. Jej kunsztownie łamany dach kryty gontem, pomimo olbrzymich płaszczyzn nie przytłaczał ścian lecz je koronował. Ma-

stoły. Przew drzwiach piec jak smok wielki.

— Nieczynny — powiedział prezes — coś się tam w nim zawaliło. Ale t się naprawi — dołanczył z wiafą, której nie wypadło burzyć.

Na centralnej ścianie królował prowizoryczny szykwas z wiszącymi u pułapu wiankami cebuli i czosnku. Naprzeciw, w ścianie wmontowane były dwie grube dechy — unikalne podwyższenie dla muzykantów. Na jednej desce grajkowie siedzieli a o drugą wspierali nogi.

Niedużo trzeba środków, aby tę szynkownię jak dawniej urządzić i ożywić.

Już słyszę jak niesie się zabawowy śpiew:

„Słoneczko, karczemka, dwa podarki boże
Bez tych żyć krakowiak
na świecie nie może.



Karczma w Promnie

przez kogo? Może przez abstynentów?

Innym olbrzymem jest klasycystyczny zajazd w CZACZU niedaleko Poznania, stojący na rozstajach dróg. Niestety, podczas remontu, wiele jego oryginalnych elementów konstrukcyjnych zostało przerobionych. Zajazd jest teraz domem mieszkalnym, w którym sądząc po ilości dzieci bawiących się na podwórzu, żyje kilkudziesięciu lokatorów.

Z dala od uczęszczanych traktów, po wsiach zabitych deskami, stały karczmy nie liczące na podróżnych i jedyną w niej izbą przeznaczoną dla miejscowych gości była szynkownia. W niej obchodzono zrókowiny, wesela, chrzciny i

le okna o sześciu szybkach, wyrastały z szerokich, grubych parapetów. Chudeusze, których nie stać było na kwartę gorzałki, podbierali się na nich łokciami i chlonęli gwar i zabawę buchającą z wnętrza karczmy.

Tak było dawniej. Teraz w oknach wisiały zakurzone zazdrości a wypolerowana, dębowa ława nakryta podcieniem, stała pusta.

Wrota i drzwi były zawarte.

Prezes kazał otworzyć.

Weszliśmy do szynkowni. Była obszerna, bieleńca, podparta pośrodku ciemnym, polerowanym słupem. Na ścianach wisiały dożynkowe wieńce, pod ścianami, jak dawniej, stały masywne ławy i

Słoneczko go żywi, karczemka go bawi
Niech za to cię Boże, człowiek
błogosławi”.

Albo:

„Da, trzy rzeczy na świecie
Goją wszystkie rany
Da, dziewczeczko, kwaterek
Woreczek napchany”.

O dziwo, śpiewy biesiadne stały się rzeczywistością — prezes może poświadczyć, ale dochodziły ku nam z okropnej knajpy wybudowanej jak na kpiny o parę kroków od najpiękniejszej karczmy w Polsce.

Nie zdziwiłem się. Podobnie by-

ło przecież w ORONSKU, przy szosie Radom—Kielce. Obok murowanej karczmy, której biel jak biały śnieg leżał w zieleni starych topoli, postawiono oszkloną restaurację.

Tak jest w KOSCIELCU, leżącym między Kolem a Koninem. Szerokie skrzyżowanie dróg obejmuje niby w ramionach, trzema klasycystycznymi budynkami martwy dziś zajazd. Gdyby go odnowić, byłby atrakcyjnym motelem. Lecz chyba długo turyści nie doczekają się otwarcia jego podwoi, gdyż pod bokiem starego zajazdu, straszny brzydota nowa budka przeznaczona do obsługi zgłodniałych i spragnionych.

Na palcach można by policzyć stare karczmy, w których jeszcze dzisiaj można wypić i przekąsić.

Oto TUMIDAJ — pikantna nazwa miejscowości za Sieradzem. Opodal lasu na rozstajach dróg stoi biała karczma z niedużym podcieniem i żurawiem studziennym u boku. Wzdłuż frontowej ściany, umocowane na słupkach, długie drągi do wżmania koni. Jak w cowbojskim filmie. Tęgo urzędzenia nie spotkałem już przy żadnej starej karczmie.

ŁUCMIERZ za Zgierzem. Karczma o starych, furmańskich tradycjach. Nie ominie jej żaden woźnica powracający z łódzkiego targu.

TARCZYN — na trasie Warszawa—Radom. W lewym skrzydle zajazdu pokrytegi omszałym dachem — restauracja. W prawym poczta oraz izba mieszkalna.

Podobny rozkład w Starej Miłosnej za Wawrem. Gospodę nazywają „Szafa gra” — od żelaznej szafy nalezionej mosiężnymi walcami dawno już nie muzykującymi.

— W gospodzie mówią — prosię pana — u nas zatrzymał się Napoleon!

Potakuję z podziwem i przypominam sobie, gdzie to jeszcze cesarz spał czy obiadował. W Tumidaju był, w Paprotni za Sochaczewem także, w Błoniu, w Krośniewicach, w Kutnie... i to przeważnie nie sam lecz z hrabiną, której nazwisko znane jest wszystkim.

Ale inne karczmy, mała własnych sławnych ludzi. W Kucinach niedaleko Poddebic stoi gliniana chalupa krwta słoma. Dawniej był to mały zajazd. Miejscowi mówią, że nocowały w nim córki króla Francji!

I tak prawda i legenda próbują nieśmiało przycisnąć do sukurs ociepłej gastronomii. Niestety, tandeta wnętrza, znanych nierzadko gospód, czyni wszystko, aby zniszczyć tradycję i odstraszyć przybyszów.

Renesans karczmy przydrożnych jednak już nadchodzi. Nasze drogi coraz bardziej zapełniają się turystami.

(Zamieszczone zdjęcie pochodzi z filmu „Karczmy i zajazdy” reż. E. Pałczyński — oper. Zb. Sokaliński.)

niami stosowanymi — stanowią dzisiaj i niespornie powinny stanowić wiodący nurt w naukowej działalności szkolnictwa wyższego. Rezygnacja czy nawet osłabienie tej zasady pozostawiałoby w kolizji z funkcjami szkoły wyższej. Nie wyklucza to jednak możliwości i potrzeby podejmowania przez jednostki uczelniane badań stosowanych, usługowych, wykonywanych bezpośrednio dla potrzeb i z reguły na zamówienie organizacji gospodarczych. Dotychczasowy ich zakres, bardzo nierównomierny w skali zarówno międzyuczelnianej jak i wewnątrzuczelnianej, jest wyraźnie niedostateczny, poniżej potrzeb i możliwości badawczych uczelni.

Rozwijanie badań stosowanych, usługowych może przynieść uczelniom i ich kadry korzyści wielostronne. Przez bezpośredni udział pracowników nauki w rozwiązywaniu rzeczywistych problemów gospodarczej i społecznej praktyki może wzmocnić ich zaangażowanie, twórczy stosunek do budownictwa socjalizmu w naszym kraju. Może też wpłynąć na trafniejsze, bardziej związane z potrzebami życia wytyczanie kierunku badań podstawowych i sposób ich realizacji, jak również na zbliżenie do potrzeb praktyki i wzbogacenie działalności dydaktycznej i treści nauczania. W naukach społecznych badacze i ich pracownicy tracą z praktyką socjalistyczną bliski, bezpośredni kontakt, przestają wyczuwać jej rytm i rzeczywiste potrzeby, skłonni są ześlizgiwać się bądź to na grunt uproszczonych i jałowych dogmatów, bądź też na pozycje krytykanctwa i negacji.

Skuteczne, planowe sterowanie badaniami wymaga dzisiaj dość istotnych zmian w organizacji potencjału badawczego, zwłaszcza skupionego w szkolnictwie wyższym. Wychodząc z tego założenia przedziałowe Tezy wnioskują wzmocnienia kierownictwa uczelniami i wchodzącymi w ich skład placówkami badawczymi. Postulują integrację jednostek nadmiernie rozdzielonych. Sugerują uwolnienie organizacji badań od dotychczasowych ograniczeń katedralnych, uczelnianych czy nawet resortowych. Odpowiadające tym postulatom formy typu instytutowego już obecnie rozwijają się bądź są przygotowywane we wszystkich uczelniach łódzkich, jakkolwiek stopniowo. Zaawansowanie tych procesów jest w różnych uczelniach niejednakowe.

Z pewną uproszczeniem wszelkie warianty organizacji instytutowych w szkolnictwie wyższym można sprowadzić do dwóch typów: 1) federacji dotychczas

strukturze uczelni istniejących lub bardziej skoncentrowanych, polewnych ze względu na rodzaj dyscypliny zakładów bądź katedr (katedr przemianowanych na zakłady), 2) stosunkowo luźnego związku niekatedr i nie zakładów, lecz osób o zbliżonych kierunkach badań, reprezentujących dyscypliny bardzo nawet różne.

W łączeniu mniejszych jednostek w organizmy typu pierwszego bywa stosowane kryterium jednorodności dyscyplin, wspólnej bazy aparaturowej, wspólnego kierunku studiów itp. Swego rodzaju walorem tego typu jest jego zasadniczo niekonfliktowość względem struktury tradycyjnej, silnie zróżnicowanej z życiem uczelni, ze świadomością i nawykami jej pracowników. Instytuty tego rodzaju mogą w jakimś stopniu zracjonalizować organizację badań, rozszerzając kanały informacji i sprzyjając koncentracji tematycznej w obrębie jednostek pokrewnych. W dyscyplinach eksperymentalnych mogą przynieść cenny efekt w postaci bardziej racjonalnego wykorzystania aparatury. W przypadkach bardzo bliskiego pokrewieństwa integrowanych jednostek mogą nawet ułatwić bardziej równomierne rozłożenie obciążeń dydaktycznych. Jest to jednak forma stosunkowo sztywna i — co najważniejsze — nie stwarzająca sprzyjających warunków dla badań i tematyki zespołowych, interdyscyplinarnych, nierzadko wymagających wychodzenia poza ramy uczelni, a nawet resortu. Nie jest przypadkiem, że w dorobku większości instytutów tego typu przeważają prace indywidualne, organizowane tradycyjnie.

Typ drugi wierniej odpowiada ideom zawartym w Tezach przedzjazdowych. Kryterium jego tworzenia pozostaje wspólny problemowy krąg badań już prowadzonych albo planowanych. Typ ten jest przystosowany do elastycznego tworzenia roboczych zespołów tematycznych, składających się ze specjalistów różnych, w razie potrzeby — odległych dyscyplin, powoływanych dla realizacji określonego tematu z zakresu bądź to badań podstawowych, bądź też stosowanych, wdrożeniowych. Nie ma tu żadnych barier utrudniających włączanie do zespołów specjalistów spoza instytutu i uczelni, również specjalistów z gospodarczej praktyki. Główna zaleta organizacji tego typu jest jej duża gietkość oraz konsekwentne podporządkowanie idei badań zespołowych, interdyscyplinarnych. W szeregach dziedzin np. ekonomicznej, badania o takim właśnie charakterze są dzisiaj najbardziej i potrzebne i zarazem płodne. Stają się niejako wykładnikiem nowoczesności organizacji

badan. W dziedzinach tych formę instytucyjową typu drugiego trzeba więc uznać za formę najbardziej obiecującą, czy nawet konieczną. Praktyczne doświadczenia, jakie w tej materii zdobyły nagromadzić w okresie ostatnich 4 lat eksperymentalne międzykatedralne zespoły badawcze na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym UŁ potwierdzają powyższą tezę w całej rozciągłości.

Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że instytuty problemowe typu drugiego różnią się zasadniczo od struktury tradycyjnych. Na tym też nie mogą nie powstać liczne trudności i opory w razie praktycznego ich tworzenia. Co więcej, instytuty tego rodzaju nie są przystosowane do wykonywania funkcji dydaktycznej a w pewnej mierze także i kształcenia młodej kadry w określonych dyscyplinach. Wybór reprezentowanej przez nie formy wymaga zatem zachowania istniejącej dotąd, lub — w razie potrzeby — udoskonalonej (bardziej skoncentrowanej) organizacji katedr i zakładów. Organizacja ta oparta o strukturę dyscyplin wykształconych w danej grupie nauk oraz wewnętrznie zgodna z planami nauczania powinna, przy takiej koncepcji badań, zapewnić efektywne wykonywanie funkcji dydaktycznej i kształcenia młodych specjalistów — badaczy.

W formie konkluzji warto tu sformułować ogólniejszą tezę, że w rozwijaniu lub tworzeniu organizmów integrujących trzeba zachować dużą rozważność, przede wszystkim zaś nie forsować ich bez nagromadzenia przemysłu i dorobku. Nie jest również pożądane przedwczesne ujednolicanie i usztywnianie form i zasad działania. Należy zachować szerokie pole dla eksperymentów, zmian, manewrowania. Wydaje się, że elastyczne i zróżnicowane formy są tu obiektywnie warunkowane przez zróżnicowaną naturę zarówno grup dyscyplin naukowych, jak i struktur kadry. Nie ulegajmy złudzeniom, że można wymyślić takie ideały i uniwersalne rozwiązania organizacyjne, które we wszystkich rodzajach uczelni i grupach nauk stworzą optymalne warunki dla realizacji nierozdzielnie związanych 3 funkcji szkoły wyższej: nauki, nauczania i wychowywania. Obawiam się, że również na naszym łódzkim terenie nie jest to przestrzega tylko abstrakcyjna. Jeżeli zaś w ślad za tym uproszczonym złudzeniem pójdą administracyjnie wymuszone decyzje, zrobimy niedźwiedzia przysługę cennej i ważnej idei unowocześnienia struktury szkolnictwa wyższego i całego potencjału naukowo-badawczego.

JAN MUJŻEL

Gdzie ruski duch gdzie Rusią pachnie

Dotarliśmy do szerokiej, gładkiej doskonale znakowanej autostrady. Żółte tablice, jak wszędzie na świecie, informują, jak daleko do miast docelowych: do Wilna mocno daleko, do Leningradu, blisko. A zatem znaleźliśmy się dość nieoczekiwanie na starym trakcie, po którym... Mój ty Boże! To tedy...

Po śniegu coraz ku dzikszej krainie
Leci kibitka jak wiatr przez pustynię...

Nasza droga na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów zbiega się z Mickiewiczowską „Drogą do Rosji”. Rzucam się do okna autokaru. Pisał przecież dalej w retrospektywnym raporcie:

Kraina pusta, biała i otwarta
Jak zgotowana do pisania karta...

Kąt patrzenia i pole obserwacji takie samo. Nawet i szybkość podobna, bo na prośbę Współzałożyciela Kwadrygi jedziemy dość wolno. Prawda, że teraz jest lato, przeddzień prawosławnych Zielonych Świątek. Ale pustka jest wyrazem dość jednoznacznym. Zeszłowieczną „pustkę” wypełnia nieprzejrzany wysoki las pszenicy. „Przyjaciele Moskale”, — jak chyba na całym świecie mieszczuchy: gdy tylko wyrwą się w szczere pole, chcą natychmiast dać sobie i innym do poznania, że nie całkiem jeszcze zmiszczuchowiali — dzielą się uwagami, jak dobrze obrodziło i ile może dać kwintali z hektara. Niewątpliwie, dużo. Z kolei zaczyna się morze żytnie. Na granicy figura. Nie, figuralna rzeźba dekoracyjna. Wyobraża dziewczynkę czytającą książkę. Nie lubimy takich dokładnie odrobionych rzeźb. Autor nie zapomniał nawet o znaczeniu organizacyjnym na palce górnej kieszonki. Ale co innego trwałość „minionych gustów” i inne wyobrażenia o hańcie „chorągwi na prac ludzkich wieży”, a co innego zbudowanie owej „wieży”. I odczucie potrzeby wywyższenia „chorągwi”. Na rzucone przez Mickiewicza pytania o przyszłość „pustej krainy” historia dała przed pięćdziesięciu laty zdecydowaną odpowiedź. Dział „Aurory” sprawiły, że odpowiedź stanowi spełnienie alternatywy pierwszej, trochę mistycznie sformułowanej: „Miłość tu rządzi plemieniem człowieczym”.

Temu bratodemu kolchoznikowi spieszno jak diabli, mija nas na pełnym gazu. Powolny transport zepsutej snopowizajki. Co za malownicze miasteczko ten Ostrów! Niewątpliwie punkt postojowy kibitek pocztowych mknących do Petersburga. Mickiewicz na pewno wysiadł tu, tak jak my, żeby choć rozprostować nogi, a w każdym razie ogarnąć oczyma ten rynek, teraz ze śladem zniszczeń wojennych, cerkwie, w dole ciemną rzeczkę. I to miasteczko było w XVI wieku zdobyte przez Batorego. Zatem dwa różne spotkania z Polską: z poetą, i, nie ostatnie, z królem zdobywcą.

Jedziemy dalej. Autokar skręca ostro, pod kątem prostym. Boczna szosa. Gdzieś w tym miejscu sławny zając przebiegi drogę największemu poecie Rosji, który okazał się człowiekiem przesydanym. Zając postąpił wcale rozsądnie. Puszkin kazał zawracać i nie wziął udziału w i tak zresztą rozstrzygniętych wydarzeniach grudnia 1824 roku. Znowu bardzo wysoka pszenica, raczej „suchego przestwór oceanu” niż:

Mętne niebo, mętne mgły.
Znow od rowu do parowu...
Sł już braknie, dzwonek zniknie!
Konie stoja. Cóż tam znowu?
Kto ich wie, czy pień, czy wilk?

Szosa, którą teraz jedziemy stworzyła najpiękniejszą wiersze o rosyjskiej drodze, w ogóle stworzyła tęskną poezję gościnności, powołała do życia obrazy nieskończonych przestrzeni, ornamentowanych łąk pskowskim, bo przecież potrójnym — jako że trojka była zwyczajowym zaprzęgiem rosyjskim — deseniem kopyt końskich, poznaczonych miganiem pasiastych słupów wiorstowych, wypełnionych brzęczeniem dzwonek i zawodzącym śpiewem jamszczyków. Ta znowu natchnęła malarzy. Gościnnie już po spełnieniu swej literackiej misji, powrócił potem stronom rodzinnym ciało poety — „niewolnika cześci”. Tą bowiem drogą w przeraźliwie mroźny luty 1837 wioził Aleksander Iwanowicz Turgieniew trumnę ze zwłokami zastrzelonego Puszkina, przez Trigoroskoje, do wrot Świątoborskiego Monasteru.

Statusczka Arina Radionowa, niania poety, też na pewno przykustka do swojej pozostawionej otworem „liczej chatynki”. Ani wątpliwość poszła na wies, na ploty. Może zasłyszec jakąś nową śpiewankę, z tych co to panicz rad zbiera? Może dalsze strofy piosenki „o dziewczynie, co po wodę rankiem szła”? Może jakąś dzisiejszą czastuszkę, nowomodną, ze snopowizajką i wydajnością? Na krzyżakowym stole na podorędziu czeka opleciona tykiem fłaszczyna. Gołną sobie z paniczem, „żeby sercu było lżej”. Tylko adin stakanczyk. Bolšie nieliza. Doktora strogo rugajut... Coś długo jej nie ma, a tu przyszli obcy faceci i przepatrują kąty Tykają oczyma garnków i dziwią się, że takie stare.

Sąsiednie Trigoroskoje, duży majątek statskiej so-wietnicy Praskowii Aleksandrowny Osipowej-Wulf, spo krewnionel z Puszkinem przez dziadka poety urząd-

nika czternastej klasy Beniamina Piotrowicza Hanni-bala — onże potomek słynnego „Arapa” Piotra Wiel-kiego walecznego i krnąbrnego wobec władców ge-nerała-lejtnanta („Mój praszczur z Piotrem koty darta!”) Najmilsze sąsiedztwo, przysłowiowy drugi tom poety skazanego na przymusowy pobyt pod dozorem w majątku rodzinnym. Praskowia Aleksandrowna, wszechstronnie wykształcona, żywo śledząca nowości literackie, wzorowa gospodyni, matka i pani domu o którego niepowtarzalnej atmosferze — atmosferze pełnej poezji, pogody i czaru cyganskiego, w dobrym znaczeniu tego słowa — głośno w literaturze pamięt-nikarskiej, jest postacią w biografii Puszkina bardzo ważną. Jej syn Aleksy Wulf, student z Dorpatu, też dość ważny. Najważniejsze są córki: Anna Nikolajew-na i Ewpraksja Nikolajewna. Michajłowskoje to kraina lat dziecińczy poety i najdłuższego z pobytów w okresie 1824—1827, Trigoroskoje to jego kraina poe-tycka.

Pisarze, jak wiemy wyjątkowo rzadko umieszczają akcję utworu w otoczeniu całkiem wyimaginowanym, zazwyczaj jest to określone miejsce na ziemi, z którym byli uczuciowo związani. W trigoroskim parku co krok odpoznaje się miejsca odmalowane w poemacie: układy drzew, zakątki poetyczne, w guście wieku, stare drzewa — pomniki przyrody o charakterystycz-nych kształtach i dochowanych do naszych czasów, niezwykle a wdzięcznych nazwach. Jest tu i „ławka Oniegina”, i „Aleja Tatiana” i wskazane przez tra-dycję miejsce, gdzie znudzony i zblazowany bajronista prawil brutalne komunały zakochanej pierwszy raz w życiu, wrażliwej, a naiwnie szczerej dziewczynie...

Podrażniona wyobraźnia pokoleń czytelniczych, wsparta faktem, że i Wulfówny, i domowi goście w Trigoroskim, wcale żywo przypominają konkretne posta-cie wiejskiego poematu, skłonna jest wpisywać w bio-grafię Puszkina (nie wszystko przecież odsłaniają do-chowane listy i wspomnienia świadków) legendę o jakimś konfliktowym dramacie sercowym, czy tylko jego zawiązku, między poetą a starszą z obu panien, Anną.

Dwór i park leżą na wzgórzu nad rzeką Sorotą. Wody Soroty są w tej chwili idealnie srebrzyste. Jedynie w krótkich momentach cienia przelekają się przejrzystym błękitem, jak srebrna, a potem poszmel-cowana klinga.

Właśnie doszedłem do krańca parku, zarazem wzgó-rza. Kończy się dość niespodziewanie. Jest w tym miejscu strome i wąskie. Wydaje się wysoko uniesio-nym ostrzem, które rozciąga czy raczej przełamuje rze-kę w pół. Zmusza ją, przepływającą kilkadziesiąt metrów poniżej, do nagłego skrętu, już nawet nie pod kątem prostym, ale wybitnie ostrym. Widok z tych o których zwykło się mawiać — nie do wiary. Doszedł do mnie młody tłumacz poezji polskiej Świa-tosław Swiacki.

— Wie pan — nawiązuje do poprzedniej, przerwanej rozmowy — kiedy powiedziałem wtedy w autokarze: „Tam ruskoj duch, tam Rusju pachnie!” — miałem na myśli właśnie miejsce, na którym w tej chwili sto-imy.

— Dlaczego tylko to miejsce, a nie całą okolicę? Czegoś równie pięknego trudno sobie wyobrazić! Mało znam co prawda Rosję, ale...

— Dlaczego? — zaraz wytłumaczę — uśmiecha się: — Słowa „tam ruskoj duch” zamykają w prologu Rustana i Ludmily opis fantastycznego matecznika, odciętego od reszty świata, krainy, w której mieszka Baśń rosyjska, wszystkie jej najpiękniejsze wątki. Prolog zaś zaczyna, nie potrzebując tego przecież pa-nu przypominać, bajecznym, uderzeniowym, jakby naz-wała dziś krytyka, obraz dębu. „U łukomorja dub zielonij, złataja ciepl’ na dubie tom”. A co to jest właściwie „lukomorje”?

— Jak to! Ostrów, Ostrów morski.

— Właśnie, że niekoniecznie morski. Ostrów w ogóle. Archaiiczne słowo, które zanim wyszło z obie-gu, uległo, jakby to powiedzieć... uładowieniu. Tu-tejsi rybacy, w czasach Puszkina już chyba rzadko, tak właśnie nazywali daleko wysunięte cypłe, zmu-szające rzekę do zataczania ostrych łuków. Zatem ma pan przed sobą „lukomorje”. Niech się pan teraz odwróci do siebie i popatrz.

Za mną piętrzył się — nie dojrzałem uprzednio, bo szedłem „Aleja Tatiana” — olbrzymi, wieluset-letni dąb — niczym nasz „Bartek” w Kieleckiem. Rzeczywiście jak żywcem z baśni. Tyle tylko, że nie krążył dokoła niego na złocistym łańcuchu ów „uczony kot” — dziwne zwierzę, które ma zwyczaj, chadając w prawo, śpiewać pieśń gminną, a w lewo, prawie basnie... Cudowny nastolatek Puszkina bawił w Trigoroskim po raz pierwszy w 1817 roku, w tym czasie mniej więcej powstawały pierwsze rzuty jego młodzieńczego poematu-baśni. Ponieważ z kolei i „dąb zielony” — nie tylko dwór Łarinowów — oka-zał się czymś realnym, mogłbym zadać sobie nawet trochę trudu, i przeprowadzić wizję lokalną, a oce-niwszy wysokość pnia oraz układ konarów rozstrzy-gnąć tamtą „pokazową” wątpliwość Tuiwima-tuma: czy złocisty łańcuch opłatał dąb dokoła, czy zwiślał z góry a kot chodził dołem niczym wiejskie kundie podwórzowe po drucie.

Okolica niby żywcem wyjęta ze snów człowieka wszystkich czasów, który znużony brukiem, stu-kiem i przekleństwami cywilizacji rozpaczliwie ucieka w marzenia o Arkadii. Przecież to i zaszczuwany w Petersburgu Puszkina w ostatnim okresie życia, wśród ataków depresji marzył o kupnie Sawkinowej Górki i pobudowaniu tam samotniczego domku. Nic je-dnak bardziej mylącego, niż emanujące z pejzażu wrażenie, że piękno, pogoda i spokój panowały tu zawsze, nierozłącznie i niepodzielnie. Tę okolicę, czę-ściej nawet niż inne regiony Rosji historia nawiedzała ogniem i mieczem, ostatnio w swym najbardziej bestialskim wcieleniu — najazd i okupacja hitlerow-ska. Jednak pejzaż rustykalny stosunkowo łatwo leczy rany i znow jest tylko bajecznie piękną sce-nerią, w której wyobraźnia kolejnego pokolenia wy-świetla trochę wyidealizowany film o młodym Pusz-kinie — a właśnie zesłaliśmy w dół i jakiś czas idziemy po „Jego”, „tropince”. Puszkina znudzony Michajłowskim, podążył tedy do Wulfów dzień po dniu, zdumiewając i napawając nieraz zabobnym lekciem przechodzących chłopów, jako że zwyczajem dość powszechnym wśród poetów egocentryków ob-myślał na głos nowy wiersz czy scenę z Godunowa, wołając donosnie do rytmu i w twórczym uniesieniu pomagając sobie młynkami łaski.

Zbiornowość różnie czuje się przy autokarze, który, nie tak jak u nas, gdzie wszystko jest dla czterech kółek, zwłaszcza dewizowych! — mógł najwyżej do-jechać do sosnowego lasu. Rozkładamy się na trawie.

EROTYK

rozchyłasz moje wargi
jesteśmy sami na świecie
nie potrafisz istnieć bez twoich rąk
Two ręce
cieniem pochylone jasnym
we włosach

dla nikogo nie byłam tak piękna
jak dla ciebie

oto już
rozkwitają łąki ocalale z marzeń
i dalekie ptaki powracają w śpiewie
w nieskończoności cichną gwiazdy

a ja
jestem przy tobie burzą światła
dla nikogo tak bliska
w bliskości

jesteśmy sami na świecie
nie potrafisz istnieć bez twoich rąk
Two ręce jak płonące rzeki
w słońcu późnego południa
przywarły do moich rąk
pełne żalu

„Zajęcia praktyczne”, coś jak „wieczór jednego wier-sza” — czytamy jakiś swój wybrany przekład i ogólna dyskusja. „Ty — tu odczestwo Interpresa — nie saw-siom papai w rymickeskiej slog Anny Anriewny — krzy-wi się Czukowski — Wied’ u niej, u Achmatowej, zwonom zwienit etot stich, a u tebia, izwini, no on niemnozko gluch!”... Kolej na mnie. Odwołam. Nie do-ciera do mnie, co mówią. W głowie się kręci. Jestem pijany zapachem i oczy mam pijane jak biała od pe-jazu. Pamiętam, dzieckiem odczuwałem z taką własnie jak dziś intensywnością urodę kraju dzieciństwa — po-wiadają bardzo przeciętną. Lata poznawania dobrego i złego z drzewa estetyki są — dziwny paradoks — latami przytarcia się owej pierwotnej wrażliwości. Dopiero trzeba piękna najwyższej miary, by od krajo-brazu zakręciło się w głowie... Po coś, na miłość Bo-ską, stąd wyjeżdżał? Teraz widzę dopiero, jakie zro-biłeś głupstwo! Tylko w takim sztafetu mogli powstać Godunow, Poltawa... a przede wszystkim Oniegina. Tu otaczali cię ludzie kochający i wierni, bez wyjątku, rozumiejący i wyrozumiali. Przyjaciele do grobu. Do-słownie do grobu. Wulfówny, w mroź tak trzaskający, że najstarsi ludzie różnego nie pamiętali — siyszą stukanie do drzwi. Przed domem zatrzymały się sa-nie z ciałem poety. Pożegnanie Trigoroska... To nie piękna Nathalie Gonczarowa klęczy nazajutrz w cze-rni tuż przy otwartej trumnie w czasie owych strasz-nych pieśni pogrzebowych, tylko Praskowia Aleksan-drowna z córkami. I po coś ci było wyjeżdżać do za-kichanego Petersburga? Między wilczarnię, o której z taką nienawiścią — skarżyłeś się na to w tamtym wierszu — pisał w Dreźnie na uchodźstwie z „Domu niewoli” Twój polski przyjaciel? Bo co z ciebie był za dworak, synu najpiękniejszej w świecie Pskow-skiej Ziemi?!

Jest jeszcze trochę czasu. Rozchodzimy się. Decy-duję się na Woronicz. Drapanie się w górę — rozkosz nog i serca, nieźle wytresowanego w czasie ostatniej włóczęgi po Gorcach i Pieninach. Woronicz twierdza — dziś tylko ślady obwałowań i cmentarzyk — był wraz z Woroniczem Niżnim — w czasach Puszkina, już tylko zwykłą sobie wioską przydworkową, obecnie Kolchoz im. A. S. Puszkina — grodem średniej wiel-kości. W latach świetności, w pocz. XVI wieku, li-czył czterysta dworów i dwieście chat zwykłych. Wały Woronicza twierdzy, spiętrzonej nad brodem So-roty, broniły granic Rusi przed dziesiątkami najaz-dów krzyżackich, i litewskich — próżno dobywał go sam Witold, ze wznieśloną szablą i w Matejkowskim kolpaku.

Wszedłem. Patrzę na ogrodzone skromnymi szta-chetami groby Praskowii Aleksandrowny i Anny Ni-kolajewny — „Tatiana”, i Ewpraksji Nikolajewny — „Olgi”, i na cudem ocalałą od zbezczeszczenia przez hitlerowców i przeniesioną z pietyzmem między kaimy i złoczenie domowego cmentarzyka — piątą z grobu Beniamina Piotrowicza Hannibala. Sporo tu też innych grobów: dawne „krestianskie”, nowsze kolchozników, a także dobrze nam znane obeliski z gwiazdką — gro-by żołnierzy, którzy wściekle bronili tej ziemi przed ostatnim, najokrutniejszym z najazdów... Zbliża się Trojczyn Dzień — Zielone Świątki, mające tu również częściowo charakter Święta Zmarłych. Zatem młode i stare „diewuszki” z owego kolchozu imienia Alek-sandra Puszkina porządkują groby swoich najbliż-szych. Widać stąd bielejące skroś zarośla na opodal ległym niższym wzgórzu domki wsi kolchozowej czyli zatratowanego ze szczeniem przez historię miasta Wo-ronicza.

Odracam twarz w przeciwnym kierunku. Ostatnie spojrzenia na dwór i park, który zwiedzałem przed paru godzinami. Widać i „Dąb zielony”. Na pniu coś jakby złociste migocze! Łańcuch, nie łańcuch? Po-niżej złotego pasemka coś krąży dokoła pnia, owymi charakterystycznymi, migkami, przypłaszczonymi ru-chami istoty — albo bardzo uczonnej, albo polującej na wróble. Patrzę na zegarek: zdażę jeszcze! Zbiegam w dół, drąpię się na sąsiedni stok, staje „u lukomor-ja” pod Dębem. Uczony Kot obrócił się na pięcie i maszerując w lewo przykazał stanowczo, żebym już, do kaduka, ukończył wreszcie pisanie tego długiego i impresyjnego raportu.

WŁADYSŁAW
RYMKIEWICZ

„Rewizor” w Teatrze Nowym

Bohaterem „Rewizora” Mikołaja Gogola nie jest ani Horodniczy, ani Chlestakow. Bohaterem komedii jest strach występujący nagminnie na tle ówczesnego życia społecznego i państwowego Rosji Mikołajewskiej.

Strach zjawia się już w pierwszej scenie, kiedy Horodniczy (Janusz Kłosiński) oznajmia wyższemu urzędnikowi miasteczka, zasiadającemu wokół okrągłego stołu: „Zaprosiłem panów w celu zakomunikowania im arcywniomej nowiny: jedzie do nas rewizor”. Od tej chwili jesteśmy świadkami rozszerzającego się i potęgującego stopniowo jak epidemia strachu, który ogarnął prowincjonalnych czynowników z Horodniczym na czele. Ta siła strachu prowincjonalnych łapowników poniża ich, „wywyższając” podchmielonego filuta, Chlestakowa, który będzie później opowiadał niestworzone brednie o swej rzekomej sytuacji życiowej w Petersburgu i o swej wysokiej stopie życiowej. Arcydziełko sztuki komediowej: pierwszy dialog Horodniczego z Chlestakowem, oparty na nieufności i wzajemnym przypisywaniu innych intencji i znaczenia wypowiedziom zdaniom, gdzie go nie ma, został przeprowadzony przez Janusza Kłosińskiego i Andrzeja Mayę ze sztuką aktorską wysokiej klasy.

Wzmagający się stopniowo, powiódłabym także — dozwolany umiarkowaną ręką reżysera (Witold Zatorski) strach osiąga w trzecim akcie kulminację w scenach, gdy do fircyka i utrącajusza, który zgrał się w karty po drodze do ojcowiska domu i zabrakło mu pieniędzy na kontynuowanie podróży, zgłaszają się w obłądzonej przerażenia miejscowi czynownicy, biorąc go za przybyłego incognito wyższego urzędnika z Petersburga, rewizora. Po kolejnych czynownikach przychodzą miejscowi kupcy i również wypychają fałszywemu rewizorowi do rąk grube łapówki, rubelki, pod eufemistyczną nazwą — pożytek.

Powiem od razu, dawno nie w dzielnicy na łódzkich scenach tak świetnego widowiska, jak Gogolowski „Rewizor”.



Wanda Chwiłkowska, Andrzej May i Janusz Kłosiński

Fot. Andrzej Brustman

W reżyserii i grze całego zespołu widać dużo pracy i talentu, i warto się chyba powołać na reakcję publiczności na premierze w dniu 22 listopada, publiczności, która oklaskiwała aktorów przy podniesionej kurtynie w czasie przedstawienia, i która po każdym akcie nagradzała wykonawców długotrwałymi oklaskami, a po ostatnim — urządziła całemu zespołowi owację i wywołała na scenę reżysera.

Zacznijmy od tego, na czym się zwykle recenzje kończą, a więc — od scenografii. Ogromny portret cara-samodziercy na całą szerokość i wysokość sceny, to dobry pomysł Iwony Zaborowskiej, przypominający nieco „Domek z kart”. Ow portret jednego z najbardziej reakcyjnych carów stwarza właściwy klimat, w którym się rozgrywa akcja komedii, klimat czasów, w których silniej niż kiedykolwiek w carskiej Rosji trzymało — excusez le mot! — za mord. Na tym tle ukazują się Horodniczy (Janusz Kłosiński), odważny w stosunku do słabych, podsyty strachem w stosunku do wyższych od niego rangą. Kłosiński stworzył bezbłędną postać brutalą i głupcą, otumanionego (za popelnione „grzeszki”) strachem, który go doprowadzi do upadku. Majstersztykiem była końcowa scena w ostatnim akcie ze słynną apostrofą: „Z czego się śmiejecie? Z samych siebie się śmiejecie!” i gest wznieśionych obronnie rąk, osłaniających głowę jak przed ciosem na wiadomość o

przyjeździe prawdziwego rewizora. Cała rola była tym, co się nazywa krótko — kreacją.

W roli fałszywego rewizora, Chlestakowa, widziałem przed laty wielkiego Kamińskiego, którego zewnętrznym wyglądem (szczupła postać, tylko wzrost nieco wyższy) do złudzenia przypominał grającego tę rolę Andrzeja May. Podobieństwo było tym większe, że reżyser (prawdopodobnie na podstawie starych fotografii teatralnych) ubrał obecnego Chlestakowa we frakczek, wypisł wymaluj, jakby zdjęty z Kamińskiego. Andrzej May, który tak, jakby tego chyba pragnął Gogol, pokazał nam pustego wartogłowa w całym jego komizmie, gietkiego, o wężowych ruchach, infantylnym charakterze.

Dalej należałoby wymienić wszystkich pozostałych trzydziestu sześciu wykonawców, którzy bawili nas swoim humorem, talentem i precyzją wykonania powierzonych im ról. Jest to jednak niepodobieństwo ze względu na niewielkie rozmiary, w jakich zamkają się recenzje teatralne. Nie sposób jednak nie wymienić kapitałnej galerii czynowników w osobach wizytatora (Zygmunt Zintel), kuratora (Stanisław Łapiński) i naczelnika poczty (Zbigniew Józefowicz). Oddzielne studium warto by poświęcić Bronisławowi Sochnackiemu w roli Dobczyńskiego. Aktor ten zharmonizował gest, mimikę i słowo tworząc przeźważną postać obywatela prowincjonalnego miasta. Dużo ludzkiej prawdy było w grze Ryszarda Dembińskiego, który jako Bobczyński prosił fałszywego rewizora, żeby ten zwrócił uwagę cara na to, w jakim to on, Bobczyński, żyje miście. Wreszcie, w bogatej galerii ról kobiecych zawsze niezawodna Bohdana Majda promieniowała komediowym humorem, zaś Wanda Chwiłkowska jako córka Horodniczego świetnie prezentowała tępa bezmyślność Marii Antonowny, prowincjonalnej gęsi.

Witold Zatorski trzymał się konsekwentnie linii kompozycyjnej przechodzącej przez utwór: rosnąca dynamika strachu, euforia, w krótkim momencie, w którym Horodniczemu i czynownikom wydało się, że nic im już nie zagraża, i ponowny wybuch gwałtownego przerażenia na wiadomość o przyjeździe prawdziwego rewizora. Ta konsekwentnie zrealizowana idea nadzorna utworu (strach niepodzielnie rządzący ludźmi za panowania cara-samowładcy) to duże osiągnięcie reżyserskie.

Komedia utrzymana w wartkim tempie, kończy się barwnym i pięknie skomponowanym rodzajem „żywego obrazu” wyrażającego mieszane uczucia „strasznych mieszczan” na wieść o przyjeździe prawdziwego rewizora.

Państwowy Teatr Nowy
Mikołaj Gogol „Rewizor”
Reżyseria: Witold Zatorski
Scenografia: Iwona Zaborowska

PODKA z książkami

GADAJĄCE DRZEWO

Powieści Michała Choromańskiego mają chyba tylu zwolenników, co przeciwników. Przyczyn należy szukać w dość specyficznej tematyce, ciekawych, choć często nieco dziwnych postaciach bohaterów, wreszcie w tym co zwykło się nazywać klimatem powieści. Nie będziemy jednak dłużej zajmować się ustalaniem racji, którymi kierują się w swych ocenach czytelnicy książek Choromańskiego, a raczej zatrzymamy się nad jego nową powieścią, która ostatnio ukazała się na rynku księgarskim. Jest to „Makumba czyli drzewo gadające”. Już tytuł, nieco zagadkowy, zapowiada egzotyczną fabułę. I rzeczywiście — akcja powieści toczy się w Brazylii, w czasie ostatniej wojny, w środowisku polskich bankrutów politycznych, wywodzących się z tzw. wyższych sfer.

Recenzent staje jednak przed dylematem, gdyż trudno jest bliżej określić charakter nowej książki Choromańskiego. Powieść sensacyjno-egzotyczna? — Mamy ga dające drzewo, brazylijski upał, kasyno gry, magiczne praktyki profesorskiej Zakrotyńskiej, poltę i śledztwo, ale przecież wszystko to potraktowane jest niepoważnie, z przymrużeniem oka, ot, figiel autora, który chce zabawić czytelnika, ale przede wszystkim sam się doskonale bawi.

I dlatego nie należy traktować „Makumbę” zbyt do słownie. Satyrycznie przerysowane sylwetki polskich uchodźców oczywiście w jakimś tam stopniu mają przedstawiać emigracyjne stosunki, ale przede wszystkim bawią czytelnika. Groteskowy humor, mnóstwo przedziwnych sytuacji, wreszcie uroczą, gawędziarską prozą Choromańskiego to największe atuty „Makumbę”, która tak, jak i inne jego powieści będzie miała tylu zwolenników, co przeciwników.

B.M.

Michał Choromański — „Makumba czyli drzewo gadające”, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań, 1965, str. 142, cena zł 12.—

BEZSENNA NOC

Autor „Bezsennej nocy” — Bernard Privat nie jest jeszcze znany polskiemu czytelnikowi, wypada więc go krótko przedstawić. W parskim świecie literackim znany jest przede wszystkim jako spadkobierca i obecny dyrektor wydawnictwa Bernarda Grasset, a także jako laureat nagrody Prix Femina, którą otrzymał za opublikowaną w 1959 roku pierwszą powieść. Można by książkę Bernarda Privata określić krótko, że jest to opowieść o jednej nocy. Ale byłoby to zbyt mało. Bo „Bezsenna noc” to powieść złożona z dwóch wątków miłosnych. Bohaterem jednego rozgrywającego się właśnie w ową bezsenność jest narrator, drugi — to historia Martalii i Odety, opowiedziane przez narratora Gesie. Obie te miłości przeplatają się ze sobą, uzupełniają, obie urzekają poetą i subtelnym liryzmem.

Interesujące jest zestawienie sylwetek Martalii i Odety, młodych ludzi z uporem i konsekwencją realizujących swoje pragnienia z niezdecydowaną, wewnętrznie rozkojarzoną postacią narratora, zagubionego w myślach o przyszłości, z której nie potrafi się wyzwolić.

B.M.

Bernard Privat — „Bezsenna noc” — PIW, Warszawa, 1965, str. 123, cena zł 16.—

WOJCIECH
NATANSON

Tadeusz Gajcy

Od dawna, od lat z górą dwudziestu, urzeka mnie tajemnica życia poległego na warszawskim Starym Mieście poety konspiracyj i Powstania, Tadeusza Gajcego. Krzywdy i gwałtu, zadanego temu poecie, któremu pozostawiono tylko kilka lat na rozkwit już nie i wikt nie naprawi. Ale grozi i jemu i całemu jego pokoleniu krzywdą nowa, równie bezpodstawa: niepamięć. Pisał o tym niedawno w „Życiu Warszawy” (3-4. XI.), w przejmującym artykule, Jarosław Iwaszkiewicz.

Kolega i rówieśnik pisarzy z grupy, do której Gajcy należał, Lesław M. Bartelski, od 1945 roku, z godnym najwyższego uznania uporem, z przenikliwym i pięknym wysiłkiem, stara się o ratowanie pamięci Gajcego, Baczynskiego, Strómskiego i Bojarskiego. Pisał o nich w swej pięknej książce „Genealogia ocalonych” (Wydawnictwo Literackie, 1963). Nieustannie do tych spraw powraca. Obecnie obdarzył nas „Wybranymi utworami” Gajcego, opublikowanymi w

tym samym wydawnictwie. Wstęp Bartelskiego daje na kilkunastu stronach — jasną, zapadającą w pamięć i przenikliwą charakterystykę poezji Gajcego, ściśle powiązaną z jego życiorysem. Rozumiemy już dzięki temu — bardzo wiele.

Znamy dzieciństwo poety, uczestnictwo młodzieńczego chłopca w kampanii wrześniowej, jego studia na tajnym uniwersytecie, udział w konspiracji, zainteresowanie poetami starożytnymi i Helzem, bunt przeciw nuriom literatury międzywojennej (z jednym wyjątkiem: katastrofistów), współpracę w czasopiśmie literackim „Sztuka i Naród”, poczucie solidarności z poległymi kolegami (nawet poczucie współwiny ich śmierci), przecięcie własnego zgonu, który się spełnił w szesnastym dniu Powstania, na placówce przy ulicy Przejazd 5. Przeczytanie i ścisłe analizy liryki Gajcego, uwzględniające też badania innych krytyków (zwłaszcza Jerzego Kwiakowskiego), czyta się z ogromnym zainteresowaniem. To, co tuż Bartelski o rozwoju Gajcego napisał — stanowi już trwały fundament.

Niestety, książka ta zawiera tylko „Utwory wybrane”, Iwaszkiewicz, jakże słusznie — dopomina się o „Dzieła zebrane”. W 1952 roku, nakładem „Paxu” wyszedł dość niepełny wybór wierszy i poematów oraz „Misterium niedzielne” i „Homera i Orchidei”. Wydanie obecne gromadzi całość wierszy i poematów, niektóre z tych utworów zostały po raz pierwszy przedrukowane z konspiracyjnej prasy. Jest to także proza i „Misterium”. Brak tylko juveniliów, artykułów i esejów krytycznych, korespondencji, piosenek i dramatów. Oczywiście — wydanie obecne jest ściślej, dokładniejsze i daje obraz pełniejszy niż poprzednie. Miejmy nadzieję, że już niebawem otrzymamy całość.

Dwa wiersze zamykają jak kłama, poetycką twórczość Tadeusza Gajcego: „Wczorajszemu” i „Do potomnego”. Pierwszy — to rozrachunek z przeszłością, z jej iluzjami i pomyłkami, z poprzednikami i rówieśnikami, z samym sobą, widzianym poprzez dramatyczny pryzmat: stosunku lat dawnych do tragicznej rzeczywistości okupacyjnej. Wiersz drugi, to rozrachunek z przyszłością, z tymi co przyjdą. Rozmowa poległego z wolnością poety z następnym pokoleniem.

Bez przemyślenia liryki i poematów Gajcego — jakże zrozumieć ów poemat sceniczny, jakim jest „Homera i Orchidei”? Poczucie krzywdy obejmuje nie tylko bohatera, ale i zakochaną w nim dziewczynę. Orchidea i za siebie i za narzeczonego buntuje się przeciw narzuceniu Homerowi losowi „Rozmowa” z posagiem Słonecznego jest szczytowym punktem tego dramatu. Miłość staje się tu zarzewiem wspólnej walki. Solidarność, która łączyła Gajcego z przyjaciółmi i kolegami konspiracyjnymi jest transponowana na sprawy miłosne. Przekład złudzenia dziecięce, wiara naiwna w niezakłócone niczym szczęście. Milczenie Słonecznego jest wyrokiem.

Umieć tyle wypowiedzieć, i słowem i tym, co się poza słowami kryje — to oznaka talentu. Węć choć ostatni akt „Homera i Orchidei” wydaje mi się ledwie naskikowany, głęboko wierzę — że ten utwór 20-letniego poety godny jest stałego trwania na polskiej scenie. O to bijemy się wspólnie, ramię w ramię z Bartelskim. Byłbym nawet skłonny bronić prozy Gajcego, której problem daje obecna edycja „Utworów wybranych”. Lech Bartelski dość krytycznie tę prozę ocenia, podnosi jedynie zarys interesującej problematyki we fragmentach opowiadania pt. „Cena”: sprawy odpowiedzialności. Wydaje mi się

Jednak, że analiza strachu w opowiadaniu „Twarzą w noc” oświetla tym jasną heroiczną determinację pokolenia. Determinację przemyślaną i świadomą. W innym utworze, w „Cenie”, rysuje się nie tylko splątanie egoizmu z miłością, pokwicie dziewczyny przez lekkomyślnego chłopca i poczucie, że trzeba za to zapłacić moralną ceną oraz śmiercią. Niespodziewanie jawia się tu ciekawe dialogi z poręcznikiem-dowodem; rozmowy, opowiedziane techniką przerywaną, wywołujących wypadkami; zarysowujące postać tego rozmówcy, który ukazuje coraz nowe swe oblicze i umie się przy tym w naszych oczach uprawdopodobnić.

Ze wzruszeniem oglądam tom wierszy Gajcego, opublikowany konspiracyjnie podczas wojny, pod pseudonimem Karola Topornickiego. Na karcie tytułowej, dla zmylenia oczu niemieckich, umieszczono fałszywą datę: (1937) i inne miłe ssa edycji (Poznań). Egzemplarz został przechowany w warszawskiej bibliotece Związku Literatów. Jest to jeden z tomów Gajcego, wydanych podczas wojny. Nosi tytuł jakże wymowny: „Grom powszedni”. Razem grom był wtedy losem każdego Polaka.

Gale życie Gajcego nie przekroczyło 22 lat. Jego okres twórczy — to mgieł nie oka, kilkanaście razy krótszy, niż normalnie człowiekowi przynależy. Gajcy zginął w wieku, który kiedy indziej bywa dopiero momentem debiutu. Jakże musiał się spieszyć, jak intensywnie pracować — by ukształtować dzieło tak zywotne?

* Tadeusz Gajcy „Utwory wybrane. Wiersze — Poematy — Proza”. Przygotował oraz wstępem i posłowiem opatrzył Lesław M. Bartelski. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1965, str. 270.

O Turgieniewie

28 października minęła 150 rocznica urodzin Iwana Turgieniewa. Prasa światowa poświęciła temu wydarzeniu wiele publikacji, oddając w ten sposób hołd wielkiemu prozatorowi. Poniżej zamieszczamy wypowiedź czołowego krytyka starszego pokolenia, Wiktora Szkłowskiego, napisaną z tej okazji.

Wielu dziś zachwyci się literaturą podróżniczą, pamiętnikarską. Kwitnie proza fotograficzna wypierająca miejscami beletrystykę. Jednakże wiele z tego, co wydaje się być nowością, zostało jedynie odnowione i podane w nowej formie. W czasach, gdy Karamzin pisał swoje „Listy rosyjskiego wędrowca”, podróże zajmowały wiele miejsca w bibliotekach, bowiem wówczas dopiero odkrywano świat.

Prasa rosyjska, być może wcześniej od innych, zainteresowała się tym, co można nazwać literaturą faktu. Oczywiście, nie są to opisy samych faktów, lecz twórcza reprodukcja życia, reprodukcja, która uczy samodzielnej obserwacji.

W niewydanej przedmowie do „Wojny i pokoju”, Tolstoj mówił, że Rosjanie w ogóle nie pisali powieści, toteż najlepsze ich książki nie dają się odróżnić do żadnego ze znanych gatunków literackich. Wymieniał przy tym Turgieniewa, Leskova i „Notatki z domu smutnych” Dostojewskiego.

W artykule „Spożyczenie na rosyjską literaturę 1847 r.” Bieliński pisał, że „granice powieści i noweli rozszerzyły się, oprócz opowiadania istniejącego od dawna w literaturze jako gorsza i lżejsza forma noweli, niedawno otrzymały prawo obywatelstwa tak zwane „fizjologie”, to jest opisanie różnych stron społecznego bytu. Dalej Bieliński mówił o znaczeniu pamiętnikarstwa.

Turgieniew to powieściopisarz znanym u nas i na Zachodzie. On pierwszy spośród rosyjskich pisarzy zdobył uznanie świata, mimo to pisał, że „tym, którym potrzebna jest powieść w znaczeniu czysto epickim, nie jestem potrzebny ja, a o pisaniu powieści myślę tylko co o stawia-

niu na głowie. Bo cokolwiek piszę, wychodzą same szkice”.

Oczywiście Turgieniew pisał powieści, ale pisał własne powieści, stworzył powieść jako nową formę literacką. W jego powieści odrębne miejsce zajmuje pejzaż, odrębny charakter człowieka, który często był dla nas odkryciem. Postać Bazarowa była dla jego współczesnych i najbliższych potomków nie tylko postacią powieściowego bohatera i nie tylko dzieckiem, którego poczynania są sprzeczne z zasadami życia ich ojców. Bazarow stał się człowiekiem nowych czasów, nowego światopoglądu, nowych form życia, stał się człowiekiem o szczególnych wymaganiach wobec siebie.

Wielki fizjolog Iwan Pawłow w życiu wzorował się na Bazarowie, gdyż ten odpowiadał jego moralnemu ideałowi człowieka. A dla Turgieniewa Bazarow stał się właśnie bohaterem, zbliżonym do Pugaczowa, człowiekiem, który wyrósł z ziemi.

Oczywiście pisarze nie wymyślają postaci dla swych powieści, lecz „wytuskują” je, uwalniają charaktery od przypadkowości, zdobywając na nie nowe patenty przewidując ludzi dnia jutrzejszego.

Turgieniew, jako pisarz, miał przewidywać. Kiedyś Sergiej Michajłowicz Eisenstein, który zmarł przedwcześnie, pragnął sfilmować i nawet sfilmował „Bieżyńską łaskę” w tych samych miejscach, po których trudny do rozpoznania włożył się Turgieniew i

W pejzażu, w stosunku do ludzi, nie ma posmaku osobowości pisarza. Pisarz jest obiektywny, charakteryzuje ludzi ponad własnym do-

świadczeniem, opisuje ich wzajemne zależności. Ale ten film nie został nakręcony, jak zresztą wiele innych filmów Eisensteina, a jeśli inni zabiorą się do tego, to zapewne zaczną od eksponowania wątku samych zdarzeń. A rzecz nie tylko w zdarzeniach, nie tylko w uwytkowaniu stosunku samego pisarza do świata, lecz w tym, by nauczyć czytelnika szerzej pojmować ten świat, pomóc mu w analizowaniu.

Turgieniew pierwszy w naszej literaturze sięgnął do psychologii chłopca, ustosunkował się do niego nie jak do części pejzażu, lecz jak do bohatera o skomplikowanej psychice.

Turgieniew tak oddalił się od nas, tak został przez nas przyswojony, że prawie go nie odczuwamy, podobnie jak nie odczuwamy poranku, drzew. Lecz nauczył nas widzieć to, co widzimy dzisiaj. Zbudował drogi dla tych, którzy dotychczas nie dostrzegali przyrody Rosji Środkowej, nie dostrzegali miejsc, w których step styka się i jakby zmagają z lasem.

Turgieniew pokazał nam nie tylko dramaty charakterów, lecz i dramaty przyrody. I jak każdy wielki człowiek stał się w konsekwencji większym od samego siebie, bowiem należy wciąż do przyszłości, którą przeczuwa i którą tworzy.

Sergiej Michajłowicz Eisenstein, który zmarł przedwcześnie, pragnął sfilmować i nawet sfilmował „Bieżyńską łaskę” w tych samych miejscach, po których trudny do rozpoznania włożył się Turgieniew i

w których ujrzał rosyjskie dzieci wśród nocy, spokojne, odważne. Został nakręcony, jak zresztą wiele innych filmów Eisensteina, a jeśli inni zabiorą się do tego, to zapewne zaczną od eksponowania wątku samych zdarzeń. A rzecz nie tylko w zdarzeniach, nie tylko w uwytkowaniu stosunku samego pisarza do świata, lecz w tym, by nauczyć czytelnika szerzej pojmować ten świat, pomóc mu w analizowaniu.

Wielu młodszych ode mnie, nie lubi Turgieniewa, lub go w ogóle nie czyta. Jakże im zazdroszczę, bowiem mimo wszystko przecież go przeczytał! Turgieniew odrodził się, znów jest ze swą pozorną prostotą na czele literatury. Przynosi tą prostotą ludziom rozkosz, przynosi podziw dla przeszłości i świadomość otaczającej ich przyrody. Poranna, turgieniewowska atmosfera zrodziła się kiedyś po raz pierwszy i po raz pierwszy nalano jej do zielonych pucharów lasów.

Literatury nie odbiera się ciągle: nie można bez końca czytać jednych i tych samych pisarzy, jak nie można śnić ciągle na tym samym polu spienicy czy bawełny. Dusza człowieka niby ziemia wymaga urozmaicenia i cieszy ją powrót rzeczy starych, szczególnie gdy zostają one odnowione.

Nastal czas odnowy Turgieniewa. Na powrót rodzi się miłość do świata, do tego świata, który rozciąga się poza granicami miast, rozpoczyna się tam, gdzie urywają się asfaltowe drogi. Myślę, że nowa młodość Turgieniewa, jego powrót, wpływa na twórczość młodych radzieckich prozatorów. Niech więc jubileusz Turgieniewa będzie ich świętem!

Przełożył

EUGENIUSZ IWANICKI

Uwaga Czytelnicy!

51/52, ŚWIATECZNY NUMER „ODGŁOSÓW” UKAŻE SIĘ W PODWÓJNEJ OBJĘTOŚCI (20 stron) I ZAWIERAĆ BĘDZIE WIELE INTERESUJĄCYCH POZYCJI: REPORTAŻY, FELIETONÓW, OPOWIADAŃ ITD, A TAKŻE DWA KONKURSY Z CENNYMI NAGRODAMI. SZCZEGÓŁY W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „ODGŁOSÓW”

TELEOBIEKTYW

WIELKA LEKCJA

Nie mogę opanować chęci, by raz jeszcze powrócić do cyklicznego programu „Obrachunki boyowskie”, który Adam Hanuszkiewicz realizuje w ramach „Studia 63”. W pewnych kręgach odbiorców telewizji porzuciła ta stała się bestsellerem ostatnich tygodni. Styszałem już głosy: „W środę? Nie mogę się spotkać, bo w telewizji są felietony Boya”.

Może część widzów, tych nastawionych wyłącznie na rozrywkę, pomija „Obrachunki boyowskie”, po prostu nie uruchamia o tej porze telewizora. Muszę stwierdzić, że ci którzy nie oglądają, wiele tracą. Nawet między innymi także i ze względu na walor rozrywkowy tego programu.

Pisałem już przed paru tygodniami, że widowisko Hanuszkiewicza jest nieskomplikowane w pomysłach. Grupa aktorów przy długim stole, każdy kolejno wygłasza któryś z felietonów Boya-Zeleńskiego. W tej akustycznym pianie włącza się czasem z jakimś melodyką, odwołującą nas w czasie, w których wygłaszane teksty były pisane.

Myślę, że tylko znakomity tekst wytrzyma taką widowiskową ascezę. Realizatorzy niezmierzają tu nie podlegają. Żadnych prób uatrakcyjnienia, żadnych dodatkowych efektów. Pozostaje nagły tekst i jego interpretacja. Interpretacja zaś szczególnego rodzaju, gdyż zmierzająca do tego, by się nie eksponować, by być jak najnaturalniejszym przekazem istnych pereł intelektu, pasji humoru boyowskiego.

Zdaje się, że świetni aktorzy przyjęli za zasadę nie stawiać między Boyem a odbiorcą, wnosząc swój wkład na zasadzie przezroczystości. To znaczy, że wysłank wykonawców skierowany jest na to, by ich psychofizyczna konkretność nie przesłaniała tekstu, nie absorbowwała mądroski i wdzięku zeń promieniującego. I choć kolejno przemawiają Szczepkowski, Holoubek, Łapicki, i inni, my odnosimy wrażenie, że stale mamy do czynienia z jednym rozmówcą.

Tym rozmówcą jest, oczywiście, sam Boy — medzece o ciętym języku i niespotykanej bystrości demaskatorskiej. Oj, do było z tym, kto nieopatrznie dostał się na ten język! Choćby owa pani Iza z „Kuriera Warszawskiego”, z którą z tak lineizyjnie rozprawił się Boy w jednym z felietonów — wygłoszonych w ramach ostatniej edycji „Obrachunków boyowskich” (27. XI). Po bombardowaniu słownym Boya z przeciwnika nie ma dostojnie co zbierać.

Właśnie te polemiczne umiejętności Boya doprowadzają do niedosięgłej perfekcji stanowią pierwszy czynnik atrakcyjności jego felietonów. Nic na chłodno, nic w formie obiektywnej relacji, wszystko na zasadzie sporu, wadzenia się z kimś, ośmieszania antagonisty. Ośmieszania bezlitosnego, ale też dotyczącego z reguły obokurancizmu, obłudy, zacofania.

Trzeba przy tym dodać, że wiele elementów mieszcząc skiej moralności i obyczajowości, z którymi Boy potykał się na śmierć i życie, przesyła go niestety. W naszym życiu społecznym nie brak jeszcze tych niechlubnych relikwów i dlatego tekst Boya brzmi tak świeżo, tak aktualnie.

Dla wykazania, jak wielkie znaczenie ma ta boyowska lekcja, wystarczy sięgnąć do wycinka publicystyki telewizyjnej. Ma ona do spełnienia ważne zadanie. Atrakcyjność formy telewizyjnej pozwala za jej pośrednictwem skutecznie informować i kształtować wyższą świadomość społeczeństwa. Ale z tego środka trzeba korzystać umiejętnie.

Tymczasem namnożyło się w publicystyce telewizyjnej programów jałowych, anemicznych, nudnych, które choć poruszają węzłowe nieraz problemy, nie przyznają się do ich popularyzacji. Iż to razy od stołu, przy którym siedzi grupa rozmówców, wiele nudzi! A przecież w programie boyowskim też jest stół i też grupa rozmówców. Decyduje żarliwość, pasja, polemiczna, dowcip, drwina, od której aż blask bije.

Doprawdy, nasi publicyści telewizyjni (i nie tylko telewizyjni) powinni oglądać programy boyowskie na zasadzie seminaryjnej, rozczłonkować zdanie po zdaniu, podpatrywać technikę każdego celnego uderzenia. W ten sposób uda im się może zwalczać banały, który tak się bulnie pieni.

Adam Hanuszkiewicz miał dobre wyzwanie, sięgając w swoich cyklicznych programach po „Obrachunki boyowskie” nie tylko historyczny przegląd szczytnych tradycji polskiej publicystyki. To WIELKA LEKCJA dla współczesnego dziennikarstwa polskiego, zwłaszcza dla młodego pokolenia publicystów, które u progu kariery ma jeszcze do wyboru między sztafą i ambitnym działaniem.

Władysław Górnym

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



„PIĘKNO I BÓL” w reżyserii Masahiro Shinody wprowadza na ekran naszych kin Japonię współczesną. Nie pierwszy to przypadek, ale jeden z nielicznych. Japoński film w większości kojarzy się bowiem z Japonią samurajską. Bowiem filmy tego kraju, które swym pięknem zdobyły przed laty kinową publicz-

ność świata, w większości przekazywały nam egzotyczny świat samurajów, co najczęściej nie łączyło się z tematyką li tylko historycznej przeszłości Japonii. Przeciwnie, na tym temacie japońscy twórcy rozważali filozoficzne, etyczne, a nawet polityczne współczesne problemy ogólnoludzkie.

„Piękno i ból” to film, który materią obrazową wyrasta ze współczesnej, a jednocześnie stale dla nas egzotycznej cywilizacji Japonii. Już na samym początku porusza, niepowtarzalnym chyba w żadnej narodowej kinematografii, urokiem obrazów, w których największe osiągnięcia dzisiejszej cywilizacji łączy się ze scenami obyczajowymi przeniesionymi niejako z innej epoki. Pociągi, odrzutowce, bogate miasta, nowoczesne hotele, bogate specyficzne wnętrza mieszkan, cuda techniki użytkowej, a wśród nich przepiękne drobne kroczki kobiety ubrane w cudowne kimono, ludzie klęczący przy małych stołkach,

rytualne gesty, nieznana nam przyroda i zabytki historyczne.

Im dłużej obserwujemy przedstawioną w „Piękno i ból” historię bohaterów tym lepiej zaczynamy rozumieć, iż w końcu to wszystko przestaje być ważne. Naszą uwagę zaczyna absorbować nie tylko powierzchowna piękna, która istotnie w filmie jest fascynująca, lecz właśnie ów ból, który z pięknem zawsze chodzi w parze. Piękno jest życie, piękni są ludzie i ich obyczaje, piękna jest cywilizacja techniczna; piękna natura i sztuka, lecz owo wielokrotnie powtórzone piękno byłoby puste, gdybyśmy nie zjawili pod jego powierzchnią. Toteż piękno w filmie Shinody niejako istnieje poza jego zainteresowaniem, ono po prostu jest. Głównym celem obserwacji reżysera jest żyjący wśród tego piękna człowiek obdarzony niezłębioną psychiką, człowiek, który wyciągając rękę ku pięknu sam je często zabija i musi przeżywać najgłębszy ból. Ten ból zadaje mu jego

własna natura, nierozszyfrowane najczęściej bodźce, które każą mu starać się być szczęśliwym lub zadawać sobie i innym ból.

Najcudowniejszą odmianą piękna, poza tym co stworzyła natura i człowiek dla własnego użytku, jest to co przez wieki było podstawowym motywem sztuki wszelkich cywilizacji — miłość. Gdy tę miłość się zabija, pozostaje ból, który jednakże o pięknie w ogóle i pięknie miłości nie może pozwolić zapomnieć.

Nie sposób opowiedzieć skomplikowaną historię bohaterów filmu. Odarta z piękna obrazów, obłożona w puste słowa straciłaby sens. O wartości filmu decyduje nie słychanie subtelna analiza psychologiczna i bogactwo skomplikowanych uczuć i przeżyć bohaterów. „Piękno i ból” to film, który każe widzowi stawiać pytania, jest niedopowiedziany do końca tak jak nigdy do końca nie jesteśmy w stanie rozszyfrować motywy kierujące ludzkim działaniem.



Film Terence'a Younga „AGENT O DWÓCH TWARZACH” należy do grupy filmów, które zaspokajają zainteresowanie widzów dziejami drugiej wojny światowej.

Inny charakter posiadają filmy tego typu produkowane w krajach obozu socjalistycznego, w czym innym specjalizuje się kinematografia zachodnia. Poszukuje ona sensacyjnych wątków, które miały miejsce w latach wojny. Ten powrót do autentyczności w wypadku znanej dowolności i komercyjności traktowania tematu, mieliśmy okazję oglądać w „Bohaterach Telemarku” czy „Działach Nawarony”.

Znamienny jest fakt, iż „Agent

o dwóch twarzach” reżyserował T. Young, twórca ogromnej serii filmów o J. Bondzie, których popularność przez wiele lat była na Zachodzie niemal niepokonana. Young również zwrócił się do tego „co było naprawdę”, widząc odczuł już przesył filmami o agencie 007.

W swym nowym filmie pokazał niezwykle przygodę jednego z najgłośniejszych agentów ostatniej wojny — Anglika Eddie Chapmana, którego dzieje spisał znany dziennikarz T. Owen, a reżyserować zamierzał przed laty sam mistrz Hitchcock. Przypadałoby, że Young nie pogrzebał szans, jakie dla mu sensacyjny scenariusz wzięty wprost z ży-

cia. Dysponując świetnymi aktorami (Ch. Plummer, Y. Brynner, G. Fröhe, R. Schneider) zrobił film, wyróżniający się poziomem na tle przeróżnych filmów sensacyjno-spiegowskich. Trzyma nie tylko w napięciu, lecz daje postaci o znakomitej charakterystyce i obdarza nas również znaczną porcją dowcipu.

Dla tych, którzy śledzą dzieje kina uważniej, wspomnę jeszcze, że Brynner w roli barona i wysoko postawionego szefa dowództwa niemieckiego przypomina kreację Stroheima i robi to chyba z pełną świadomością.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje



— Zizi Jeanmaire

ZIZI JEANMAIRE W PARYŻU KIEJ „OLIMPIA”

● Zizi Jeanmaire, tancerka i śpiewaczka, żona słynnego tancerza i choreografa Rolanda Petit, po dług-

szej przerwie wystąpiła na estradzie paryskiego mu-sic-hallu „Olimpia”. Najpo-ważniejsze pisma literackie nie szczędzą jej słów najwyż-szego uznania i podziwu.

ny do ciemnicy, gdzie oczekuje na śmierć. W przed-dzień wykonania wyroku na Wagf gnie Kadzar z ręki spiskowców, a władzę w mieście przejmują krewny zbieg lego chęna, Mamed-bek Dżawanszir. Z jego to rozkazu Wagf zostaje znów uwiecznio-ny. Nowy władca likwiduje stronników swego wuja. Dom Wagfa zostaje spłądowany i zniszczony, a Wagf skaza-ny na śmierć i stracony.

Pozostawił po sobie wiersze liryczne pełne filozoficz-nej zadumy i afirmacji życia oraz pieśni, które śpiewał lud. Był wielkim humanistą. Głosił szacunek i miłość do człowieka.

ALDOUS HUXLEY

● W tym samym dniu kiedy zamordowano Johna F. Kennedy'ego 22 listopada 1963 roku, w Hollywood umierał na raka 69-letni, wybitny an-gielski powieściopisarz, poeta i eseista, Aldous Huxley. Ka-zał sobie wstrzyknąć silną dawkę narkotyku LSD, po któ-rym nie obudził się już wię-cej.

Ostatnio, w pięć lat po śmierci pisarza, ukazały się

niemał w tym samym czasie książki anglosaskich autorów, dwie o nim samym i jedna, obszerna, 400-stronicowa o rodzinie Huxley'ów. Dwie wy-dane zostały w Nowym Jor-ku, napisali je: John Atkins pt. „Aldous Huxley” i Laura Archera Huxley, druga żona pisarza. Książka nosi tytuł „This Timeless Moment” i zawiera głównie wspomnienia z ostatnich lat życia pisarza. Trzecia książka wyszła w Lon-dynie pt. „The Huxleys” a jej autorem jest Ronald W. Clark.

Aldous Huxley (ur. 1894) którego powieści, zazwyczaj utopijno-satyryczne, ukazują rozkład społeczeństwa burżu-azyjnego, ichną pesymizmem i niewiarą w szczęśliwszą przyszłość ludzkości, zawie-rają rzetelną i rozległą wie-dzę z dziedziny biologii, zoo-logii, fizjologii, i antropolo-gii. Bo oprócz wybitnego ta-lentu pisarskiego Aldous Hux-ley odznaczał się wybitnymi zainteresowaniami naukowymi. Nie on jeden w rodzinie Huxley'ów. Jego dziad Tho-mas Henry Huxley (1825—1895) był filozofem, biolo-giem, morfologiem, paleontolo-giem, wielkim i żarliwym propagatorem teorii Darwina. Cieszył się dużym uznaniem i autorytetem jako wybitny naukowiec. Spośród jego po-tomków Andrew Huxley, fi-zyk, otrzymał w roku 1963 nagrodę Nobla, a Julian Hux-ley, dziś 81-letni, biolog, był pierwszym Generalnym Dyrektorem UNESCO.

Aldous Huxley, ten olbrzym (miał 1,93 m wzrostu) otrzy-mawszy staranne wychowanie w elitarnych uczelniach w

Eton i Oxfordzie, został do-centem literatury angielskiej, zajmował się dziennikarstwem i krytyką sztuki, podróżował po Francji, Włoszech, Ame-ryce, Indii. Napisał szereg powieści z których takie jak „Niewidomy w Gazie”, „Kon-trapunkt”, „Nowy wspaniały świat” stały się w swoim czasie bestsellerami. W koń-



Aldous Huxley z żoną Laurą

cowych latach życia Aldous Huxley, być może na skutek rozwijającej się choroby, skła-mała się do mistycyzmu, oku-ltyzmu, odurza się LSD (tym ostatnio modnym i niebez-piecznym narkotykiem na Za-chodzie). Gdy w roku 1962 ukazuje się książka Huxleya „Island” dziennik „Times” pi-sze m. in.: „Przez lat czter-dzieści Mr. Huxley bawił nas, zaskakiwał, złościł, ale nigdy nie nudził. Ale to należy do przeszłości.”

Bez strachu

KIEDY LYKAM PIŁUŁKI

Kiedy lykam pigułki, a lykam je od dawna i często, znajomi strofują mnie, odradzają, straszą rychłym koń-cem, a w każdym razie ciężką chorobą. Kiedy lykam pi-gułki w kawiarniach i barach przygodni rozmówcy doradza-ją mi zażywanie raczej kura-cji ziołowej i napędzają wy-obraznie upojną wonią ziół, wspomnieniami i wyobraże-niami sianokosów, od któ-rych jeszcze przed chwilą byłem najdalej czasem i przestrzenią. Kiedy lykam pi-gułki obcy jeszcze przed chwilą ludzie interesują się mną żywo, proszą o opisanie mego życia, sposobów ubie-rania się, jedzenia, picia, spa-nia — wysłuchują w napię-ciu szczegółów — ciekawi ich każdy krok który stawiam, pragną znać oddech moich snów i mojej jawy. Kiedy lykam pigułki wielu starszych panów przybiera wobec mnie postawę surowego ojca: „czy mam iść do ciebie i wyrzucić ci te wszystkie świa-stwa!” Oto ich słowa wy-po-wiadane do mnie tonem gniewnym, serdecznym i su-rowym, wtedy kiedy lykam pigułki. Kiedy lykam pigułki — ludzie patrzą na mnie i mówią: „patrzcie on znowu lyka pigułki — przecież ten nieszczęśliwy zabija się na na-szych oczach, trzeba go nie zwłocznie ratować!” Podcho-dzą i rozmawiają ze mną dowiecnie na pogodny tema-ty — przed odejściem mówią mi o urodzie życia i podają bilety teatralne, kinowe, bi-lety do fotoplastikonu i do wesołego miasteczka, gdzie aby uwierzyć w urodę życia mogę zobaczyć prawdziwą syrenę oraz pogadać z mó-wiącą foką. Niekiedy są to bilety do cyrku, gdzie zoba-czyć mogę prawdziwego lwa i niedźwiedzia i malpy i kro-kodyla.

Otóż obawiam się, że nig-dy nie przestanę lykać pigułek — bowiem stan ten, stan nielykania — trzeba będzie drogo opłacić — kto się mną nielykającym, zainteresuje, kto dla mnie nielykającego znajdzie gorzkie jak pigułki i żywe serdeczne słowa. Kto mi nielykającemu da bilety teatralne, kinowe, cyrkowe, do fotoplastikonu, do weso-łego miasteczka. I co mnie nielykającemu obiecuje w zamian, zdrowie tylko zdro-wie — otóż ja pragnę wię-cej i dlatego lykam pigułki.

BERNARD SZTAJNERT

W 250-LECIE URODZIN WA-GIFA

● 250 lat temu urodził się a-zerbejdżański poeta i dia-ktarz Molla-Panach Wagif. W związku z tą rocznicą „Li-



— Molla-Panach Wagif

teraturna Gazeta” przyno-si jego wiersze i artykuły o jego życiu i twórczości. Molla-Panach Wagif uro-dził się we wsi Salachity, po-

łożonej na prawym brzegu rzeki Kury. Później wraz z rodziną przenosi się do Ka-rabachu. Tu Wagif otwiera szkołę, pisze wiersze liryczne i pieśni, które rozchodzą się wśród ludu. Wagif zdobywa sławę, która dociera do cha-na. Ibrahim-Chalil-chan zwy-wa poetę na swój dwór i obdarza go urzędem wielkie-go wezyra. Na tym sławis-ku Wagif w sprawach polity-ki jest zwolennikiem sojuszu z Rosją.

W 1795 r. Wagif organizu-je obronę stolicy Kawaba-chu. Szuszy przed najazdem szacha Iranu Agi-Muchameda Kadżara. Wojska szacha na-potkawszy opór mieszkań-ców miasta i poniosłszy znaczne straty odступują od oblężenia. W dwa lata po-tem Kadzar zdobywa Gruzję, pali Tyflis i ponownie oble-ga Szuszę. Tym razem mia-śto zdobywa głodem. Ibrahim-Chalil-chan ucieka. Wagif zostaje przez szacha wirąco-

spektakle tygodnia

TEATR WIELKI	spektakli	widzów	procent.
„Rigoletto”	1	1260	100
„Dama pikowa”	1	1260	100
„Kniaź Igor”	1	1260	100
„Zemsta nietoperza”	1	1260	100
NO WY			
„Zeglarz”	2	1400	100
„Rewizor”	3	2100	100
„Czerwone pantofelki”	1	700	100
MAŁA SALA			
„Gra miłości i przypadku”	1	200	100
„Skiz”	1	200	100
POWSZECHNY			
„Kawior i kaszanka”	2	1200	90
„Rzecz listopadowa”	2	1060	85
Im. Jaracza (w teatrze Rozmaitości)			
„Kiedy kocha Opalę”	2	1174	92
„Przedwiośnie”	2	1188	93
7.15			
„W czepku urodzona”	2	610	73
OPERETKA			
„Dziękuję Ci, Ewo”	6	6047	98
FILHARMONIA			
Koncerty symfoniczne	2 spektakle	100 słuchaczy	90

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Pamiętam pewien konkurs literacki, którego ewentual-nym uczestnikiem postawiono taką ilość wielokrotnych wa-runków tematycznych, że... konkurs poniósł aromotną kla-pę. Niki rozgłoszony nie podjął się pisanie książki o wszyst-kiem. Dlatego bardzo mi się podoba konkurs na sztukę sceniczną ogłoszony przez miesięcznik „Teatr Ludowy”.

Nie stawia się tu autorom te-matów — prezentuje się im ideę. „Utwory mogą doty-czyć — czytelnik w komuni-kacie — problemów moralno-obywatelskich, społeczno-politycznych, a także rewolucyj-nych tradycji naszego naro-du. A więc sztuki ukazujące zarówno obraz społeczności wiejskiej jak i miejskiej, ich przemiany, awans młodego pokolenia”. To rozumieć — chodzi o sztuki ukazujące nasz czas i taka koncepcja konkursu jest słuszną i mądrą. Termin — maj 1966 roku, uczestniczyć może każdy, objętość ok. 60 stron

maszynopisu. Adres: Warsza-wa, Redakcja „Teatr Ludowy”, ul. Reja 9. No i wreszcie sprawa także istotna: I nagroda — 20 tys. zł, II — 15 tys. zł, III — 10 tys. zł oraz trzy wyróżnienia po 5 tys. zł. Tylko ślaść i pi-sać. Oczywiście, jeśli się ma coś do powiedzenia.

WTOREK

Pięćdziesiąta rocznica niepo-dległości to rocznica wszyst-kich dziedzin życia. Dlatego sławie Łódzki Dom Kultury za zorganizowanie w ramach tych obchodów Tygodnia Fil-mów Polskich. I to jakich! Wyciskających łzy z oczu starszego pokolenia, pamięta-jącego czasy staroświeckiego iluzjonu... Jadwiga Smo-sarska — ktoś z młodych zna dziś to nazwisko? — bożyszcze widzów lat trzy-dziesiątych, a poza tym na srebrnym ekranie ŁDK ożywa-ją tytany polskiej sceny — Jaracz, Węgrzyn, Kurnako-wicz...

ŚRODA

„Ex libris” znaczy „z ksią-

żek” i taką nazwę nosi znak własnościowy w formie artystycznie wykonanej nalep-ki, umieszczany zwykle na wewnętrznej stronie okład-ki. Lecz już dawno ekslibris stał się prawie autonomicznym dziełem sztuki, miniatu-rową grafiką.

Jednym z najwybitniej-szych twórców tych miniatu-rowych dzieł sztuki był Lud-wik Tyrowicz — artysta zmarły przed kilkunastu laty. Stworzył on wiele pięknych ekslibrisów, które można o-bejrzeć w „Księgarni Naukowej” (Piotrkowska 162) na wystawie zorganizowanej staraniem Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki.

CZWARTEK

Nawet na papierze opakun-kowym można drukować wiersze. Doszły do tego wniosku młodzi warszawscy poeci z grupy Hybrydy publikując ja-ko dodatek do swego pisma „Orientacja” — tomik wierszy Jarosława Markiewicza. Zbiorek ilustracji graficzne wkładki Zdzisława Beksińskiego i w ogóle wydawnictwo choć młodzieżowe i amator-skie, bije na głowę poziomem edytorskim uznane fir-my. Wreszcie słowo o samej „Orientacji” czyli miesięczniku poetyckim warszawskie-go środowiska młodych. Ser-ce się kraje z zazdrości. Pra-

wie 100 stron, bogata szata graficzna, eseje, wiersze, szkice, recenzje. Wśród wie-lu publikacji — także wiersze łódzkich poetów Jacka Bierleczina i Kazimierza Świe-gockiego. Przydałaby się ta-ka „Orientacja” w Łodzi.

PIĄTEK

O „Rzeczy listopadowej” Ernesta Brylla napisze na pewno w „Odgłosach” ktoś bardziej ode mnie kompeten-ty, bo sztuka idzie w Tea-trze Powszechnym. W tym miejscu chciałbym tylko za-cytować co mówi o niej sam autor, wybitny poeta śred-niego pokolenia: „Cały czas staram się w tym dramacie wyklócić z widownią o na-sze wady narodowe. Jest tam na przykład jedna z naj-ważniejszych moim zdaniem scen, kiedy mówi się o pol-skiej skłonności do obraca-nia wszystkiego w dowcip. To co było systemem obronnym w czasie okupacji — w cza-sach obecnych zamienia się może w dowcip kujący ogłu-pienie. „Z obszernej” wy-po-wiedzi Brylla wybrałem tę tylko myśl. Ku przestrozie widowni, która zanim zaszem-rze szciszonym śmieśkiem niech przypomni sobie słowa gogolowskiego Rewizora: „Z kogo się śmiejęcie — z sa-mych siebie się śmiejęcie”. Bowiem w czasach, które —

Jak mówi Bryll — ścielemy sobie sami, także śmiech musi być śmiechem mądrym, a nie rechemetem przeciwko nam samym.

SOBOTA

Słowo horyzont pochodzi od greckiego hordizela czyli dzielić, ograniczać. O horyzon-t Jakże się znaczenie tego sło-wa zmieniło. Łódzka Księgar-nia Wydawnictw Importowa-nych „Horyzont”, nie dzielił przecież, nie ograniczał, ale poszerza odcinając nas świat o setki, tysiące publikacji obcojęzycznych, o sprawy in-nych narodów, problemy in-nych kontynentów. W gło-wie się kręci — odnowiony po remoncie „Horyzont” (Piotrkowska 23), dysponuje 15 tysiącami wydawnictw z różnych krajów świata. Znaj-dziemy tu mnogość atlasów, słowników, encyklopedii, albu-mów, reprodukcji, dzieł nau-kowych, literackich, wydaw-nictw dziecięcych...

NIEDZIELA

Przeczytałem kiedyś w war-szawskiej gazecie anons o obronie pracy doktorskiej. Tytuł brzmiał: „Analiza sko-ku przez skrzyżnię w zaleśno-ści od techniki wykonania oraz niektórych cech morio-logicznych ćwiczącego”. Słowo daję, nie bujam. Zdaje się, że doktoryzowała się jakaś absolwentka Akademii Wy-

chowania Fizycznego. Do dziś nie wiem na co komu (oprócz doktorantki) była ta zabawa potrzebna. Przy-pomniała mi się owa „anali-za skoku”, kiedy zobaczyłem w gazecie anons o obronie prac doktorskich młodych łódzkich naukowców. I serce mi urosło. Tematy jak dzwon — naprawdę kawał u-żytecznej roboty naukowej, prace przydatne i dziś i ja-utro — przyszłym historykom. Na przykład „Rzemiosło w Łodzi w XIX wieku”, albo „Udział ZSRR w uruchamianiu gospodarki polskiej i po-czątki stosunków handlowych polsko-radzieckich”. Powie ktoś — Widok nie sporto-wiec to go skok przez skrzy-nię śmiejesz. Nieprawda. Nie znam się na chemii a nie śmiejesz mnie temat pracy doktorskiej broniącej niedaw-no na PE — „Określenie kształtu kropki czernej na płaszczyźnie poziomej”. Dla mnie kropka, coż, jak kropka, ale wiem, że za tą pracą coś się kryje, jakaś konkretna przydatność — kto wie, w produkcji koncentratów, w che-mii spożywczej... Wiele ma sensu. A jaki sens ma anali-zowanie skoku przez skrzy-nię? Dalibóg nie wiem. Ja bym taką skrzyżnię po prostu obszedł. Bez skoku.

JERZY WIDOK

Uwaga, pirat w eterze!

Już od osiemnastu lat działa w Monachium dowództwo strategicznych sił „wyprawy krzyżowej” przeciwko socjalistycznym krajom Europy — amerykańska rozgłośnia radiowa „Free Europe”, czyli „Wolna Europa”, w skrócie RSE. Jak przyznają jego twórcy — pisze Julius Mader w „Deutsche Aussenpolitik” — RSE na przestrzeni całej swej historii odgrywała rolę propagandowego miecza w zimnej wojnie. Wysoko postawiony pracownik CIA, Ladislav Farago (lub inaczej — Bell), który przez szereg lat osobiście kierował pracą centralnego ośrodka dywersji radiowej, mówi dziś o działalności radia „Wolna Europa” zupełnie otwarcie: „Działają różne agencje podsycające zimną wojnę, a w tym również i radio Wolna Europa, radio „Wolność”, pracujące specjalnie przeciwko Związkowi Radzieckiemu, oraz radio „Wolna Azja”.

Chociaż po zakończeniu drugiej wojny światowej Stany Zjednoczone były zmuszone niejednokrotnie zmieniać strategię swej antysocjalistycznej polityki w Europie, poczynając od „hamowania komunizmu” w końcu lat czterdziestych, poprzez politykę „odrzucania komunizmu” w latach pięćdziesiątych, aż do „przerzucania mostów” i rozmiękania w latach sześćdziesiątych, szeroka kontrrewolucyjna — dywersyjna działalność tych radiostacji nie ulegała zmianie.

2

Zainstalowana w zachodnim Berlinie stacja radiowa amerykańskich wojsk okupacyjnych RIAS, którą kieruje wywiad USA, jest nakierowana przede wszystkim przeciwko Niemieckiej Republice Demokratycznej. Radiostacja nadawcza „Wolność” w Monachium, do niedawna jeszcze zwana „Wyzwolenie”, należy do „amerykańskiego komitetu walki z bolszewizmem”, którego centrala mieści się w Nowym Jorku. Ostrze swych audycji kieruje niemal wyłącznie przeciwko Związkowi Radzieckiemu, nadając aż w dziewięciu językach narodów ZSRR. Radiostacja „Wolna Europa” w Monachium koncentruje swe wysiłki na nagłonce przeciwko Bułgarii, Czechosłowacji, Polsce, Rumunii i Węgrom.

Oficjalnie „Wolna Europa” zaślania się sztydem „samodzielnego wydziału Komitetu Wolna Europa”, również z centralą w Nowym Jorku, mieszczącą się przy Park Avenue 2. Komitet ten jest z kolei składową częścią pogromowej, antykomunistycznej organizacji

działającej w USA pod nazwą „Wyprawa krzyżowa o wolność”. Krywając się za szyldem prywatnej firmy, twórcy tej dywersyjnej stacji radiowej zażądali prawa nieograniczonego prowadzenia propagandy przeciwko krajom socjalistycznym. Potwierdzenie tego faktu można znaleźć w jednym z zachodniemieckich tygodników, w którym czytamy m. in.: „Ta propaganda ma jeden nieoceniony walor — nosi charakter formalnie prywatny, nie jest ograniczona względami dyplomatycznymi, które musiałaby mieć na uwadze radiostacja rządowa. Nie wiedząc o tym, słuchacze na Wschodzie często przyjmują tę propagandę za oficjalny punkt widzenia Ameryki”.

W ten sposób już z samego charakteru radia „Wolna Europa” wynika, iż została ona pomyślana jako radiowe centrum dywersji politycznej, skierowanej przeciwko Europie wschodniej.

3

„Komitet Wolna Europa” jest ściśle powiązany z wojskowo-przemysłowymi kołami USA. Dlatego wcale nie dziwi fakt, że w spisie twórców radiostacji znajdują się tak znane osobistości, jak wysoki komisarz USA w NRF, znany bankier i szwagier Adenauera — John Mackloy, były sekretarz stanu — John Foster Dulles, milionerzy — Nelson Rockefeller i Henry Ford. Już tylko z tych nazwisk można wnioskować, kto jest właściwym gospodarzem centrum radiowego „Wolna Europa”. Ustalono obecnie, że działalność radiostacji finansowali tekascy milionerzy naftowi, takie na przykład koncerny, jak „Esso”, „Ford” i „General Motors”, znana organizacja szpiegowska CIA oraz militarystyczne koła USA. Woląc trzymać się w cieniu, mecenasi radiostacji „Wolna Europa” działają nie tylko „dla idei”, ale i dla milionowych zysków, które przynosi im ta „wolnoeuropejska” impreza. Wszyscy oni wykazują pełne zainteresowanie w realizowaniu ekonomicznej, politycznej i wojskowej ekspansji. Koncern „Esso” występuje jako główny organizator zbytu produkcji kompanii „Standard Oil of New Jersey”. Obroty koncernu, jednego z głównych dostawców materiałów pędnych dla NATO, sięgają — w północnej, zachodniej i południowej Europie — milionowych sum.

O rozbudowie aparatu radiostacji „Wolna Europa” świadczy stały wzrost jej budżetu: w roku 1951 radiostacja rozporządzała 18 milionami marek, w 1967 roku — już 44 milionami marek. Łatwo prześledzić wpływ Pentagonu i CIA na działalność tej szpiegowskiej. Jeden z założycieli CIA, obecny minister obrony USA, Clark Clifford, będąc w okresie od Trumana do Johnsona głównym doradcą Białego Domu w zakresie wywiadu, przewija się na przestrzeni wielu lat w spisie członków Komitetu radia „Wolna Europa”. Ten temu złowieszcemu radiu nadają, obok Clifforda, generałowie — Clay i Crittenger. W międzynarodowym wydaniu New York Times z dnia 28 kwietnia 1967 roku czytamy m. in.:

„W Monachium CIA utrzymuje liczne agencje badawcze i tak ważne kanały propagandowe, jak radio „Wolna Europa”, z której nadaje się audycje dla wschodniej

Europy oraz radio „Wolność”, na celowaną na Związek Radziecki. Te, tak zwane „prywatne” radiostacje dają pracę liczny utalentowanym i wykształconym uciekinierom z Rosji, Polski, Węgier i innych krajów. Oni to werbują agentów w krajach komunistycznych, wysłuchują komunistycznych audycji, zachęcają przedstawicieli zachodniej inteligencji do występowania w radio z antykomunistycznymi odczytami i publikacjami, oraz rozsyłają wyniki swej pracy badawczej do specjalistów i dziennikarzy na wszystkich kontynentach”.

„Prawomocność” działalności radia „Wolna Europa” na terenie NRF zatwierdził minister spraw wewnętrznych Republiki Federalnej. Radio to działa więc w NRF „legalnie”!

4

Centrum radia Wolna Europa obsługuje 1390 pracowników. 120 stanowisk kierowniczych zajmują wyłącznie obywatele USA. Największą część personelu — 700 osób, stanowią obywatele Niemieckiej Republiki Federalnej, pozostała część personelu — około 500 osób, to emigranci przeszło 30 narodowości, znani ze swych antykomunistycznych „nastrojów”. Jeśli porównać kartotekę personelu radia „Wolna Europa”, znajdującą się, jak zapewnia dyrektor kadr, Hans Fischer, pod doświadczeniem, z etatowymi wytycznymi Departamentu Stanu USA, staje się jasne, jak wielką wagę przypisuje ministerstwo spraw zagranicznych USA do działalności radia „Wolna Europa”, jako antysocjalistycznej „organizacji frontowej”.

Czas trwania audycji radiowych Wolna Europa, prowadzonych w licznych językach, obejmuje około 500 godzin tygodniowo. Połowę tego czasu zużywa się na cele agitacji politycznej. W wyjątkowych okolicznościach radiostacja koncentruje całą moc swych nadajników na jakimś jednym kraju socjalistycznym, jak to na przykład miało miejsce podczas znanych wydarzeń w Czechosłowacji.

Radiostacja „Wolna Europa” wzmocniła w 1963 roku moc swych stacji z 825 tysięcy do 1.825 tysięcy watów i używa obecnie nie mniej, niż 780 częstotliwości fal radiowych. Rozporządza ona dwiema stacjami przekątnikowymi w Holzkirchen w Bawarii, które pracują na średnich falach, ośmioma przekątnikami krótkofalowymi w miejscowości Biblis w Hesji, a prócz tego 18 krótkofalowymi przekątnikami o mocy 50, 100 i 250 kilowatów, rozmieszczonymi na terytorium Portugalii.

Radiostacja „Wolna Europa” uruchomiła w dziewięciu krajach Europy i Azji, a także w zachodnim Berlinie, szeroko rozgałęzioną sieć agentur szpiegowskich. Działają one w szczególności: w Sztokholmie, w Bonn, Londynie, Paryżu, Brukseli, Wiedniu, Rzymie, w Atenach, Salonikach i Stambule.

Na zlecenie amerykańskich mocodawców z centrali wywiadowczej, uruchomiono w miejscowości Schleissheim w Bawarii centrum służby radiowo-podsluchowej, wyposażone w ultramoderną aparaturę, które w



— Mówi „Wolna Europa”.

Rys. Ibis-Gratkowski

dzień i w nocy, prowadzi podsluch 50 radiostacji krajów socjalistycznych. Pracą tą kieruje uchodźca z Bułgarii, doktor Nowolijew, znany ze swych profaszystowskich poglądów. Niezależnie od podsluchu, centrum prowadzi systematyczną i intensywną analizę 700 centralnych i terenowych gazet i czasopism, ukazujących się w krajach socjalistycznych.

5

Podsumowując fakty, świadczące o dywersyjnej działalności radia „Wolna Europa”, można wyciągnąć następujące wnioski: radio „Wolna Europa” planuje, przygotowuje i puszca w ruch kontrrewolucyjny spisek przeciwko krajom Europy wschodniej, jest jednym z najważniejszych szpiegowskich ogniw USA. Potwierdza to ujawniony niedawno fakt, iż na terytorium neutralnej Austrii działają agenci „Wolnej Europy”, maskujący się pod firmą pracowników „społecznego instytutu badania opinii publicznej”. Oni to właśnie żądają od turystów, odwiedzających powrót do kraju, wypełniania ankiet, zawierających pytania o charakterze czysto szpiegowskim.

Werner Sikorski, który na szpiegowskiej niwie wyrósł na gwiazdę pierwszej wielkości, na pisał — po gruntownym zapoznaniu się z procesem pracy w radio „Wolna Europa” — co na stępuje:

„Sporządza się tutaj kartoteki i archiwa. Rejestruje się miliony danych. Nie ma ani jednego, mniej czy więcej, znaczącego działacza politycznego, który by nie został uwieczniony w kartotece danego kraju. Jego biografia, wykształcenie, jego przynależność do partii i środowiska — wszystko to podlega rejestracji. Już chociażby tylko ta jedna strona działalności radia „Wolna Europa” stawia ją w rzędzie najważniejszych ośrodków informacji o świecie komunistycznym...”

I jeszcze jeden fakt: oto wszyscy zdracy swej ojczyzny, a także elementy kryminalne, zbiegłe z krajów socjalistycznych, znajdujących się w zasięgu oddziaływania radia „Wolna Europa”, są przesłuchiwanymi przez policję bawarską nie tylko na zlecenie NATO, ale również na zlecenie odpowiednich agend radia „Wolna Europa”.

(W. ŚL)



Lewym
okiem

JADŁOSPIS TYGODNIOWY

Przypadkowo wzięłem do ręki numer „Mody i życia praktycznego” sprzed siedemnastu bez mała lat, z lutego 1952 r. Wtedy — tak jak dzisiaj, jak wszystkie czasopisma kobiece na świecie — „Mody” również zamieszczała przepisy kulinarne oraz radzila, jak układać tygodniowy jadłospis.

Przeczytałem więc ów jadłospis z czasów, gdy byliśmy młodzi i ogarnęło mnie uczucie satysfakcji i optymizmu. Cóż za stąłony skok w poziomie naszego żywienia! Jakież to wtedy często panowało w porównaniu z dzisiejszymi receptami z „Przekroju”, pełnymi egzotycznych nazw, wyrafinowanych kombinacji, komentarzy z poetyckiego wokabularza! Proszę, przypomnijcie sobie, cośmy jedli w lutym 1952 roku:

niedziela: barszcz czerwony z kostką „Warta” z grzan-

kami, zrazy nelsonskie, kwaszony ogórek, kisiel z suszonych owoców;

poniedziałek: kartoflanka ze śmietaną, zapiekanka z kaszy, kwaszona kapusta;

wtorek: zacierki na wodzie ze słoniną, kielbasa pieczona z sosem chrzanowym;

środa: zupa jarzynowa, pyzy z surowych ziemniaków, borówki lub czerwona kapusta z jabłkami;

czwartek: zupa kalafiorowa z kostką „Warta”, kluski klądrzone z jabłkami;

piątek: zupa pomidorowa z kluskami, marchewka, ziemniaki podsmażone;

sobota: krupnik, makaron zapiekany z serem.

Wesoło, co? Raz na tydzień, w niedzielę, miłgo zrazy nelsonskie, i raz, we wtorek, kielbasa. Jarzynki? W poniedziałek kapusta kwaszona, w środę kapusta z jabłkami, w czwartek marchewka, koniec. Jeszcze dwie kostki „Warta”, parę razy ziemniaki, raz zacierki na wodzie, dwie zapiekanki, i raz — w niedzielę — desert. Przynajmniej można było zachować linię — i rzeczywiście, nasze żony były jakoś szczuplejsze, z mią sami mniej tyłsi. Co może działa?

Działaj inaczej. Działaj mamy mnóstwo zup błyskawicznych, pod dostatkiem drobiu, ryby nie co dzień, ale są, warzywa aż się śmieją wszystkimi kolorami z ulicznych straganów, mięsna lubimy pogryzać z apetytem i tylko poniedziałek pozostał tradycyjnie dniem postnym, zresztą raczej ze względu na to, że w niedzielę trzeźnie nieczynne. Cóż tedy z tego wszystkim radzi nam upitrasie „Przyjacielka” w swoim aktualnym menu tygodniowym z 10 listopada 1968 roku? Przetykając z góry slynko, zaglądamy:

niedziela: rosół na wołowinie z makaronem i słekana natką pietruszki, sztuka mięsa z kwiatkiem, sos chrzanowy, ziemniaki, surówka z marchwi, szarlotka;

poniedziałek: barszcz czerwony w filiżance, naleśniki z kapustą, kumpoli;

wtorek: grochówka z koncentratów z grzankami, zapiekanka makaronowa z serem, surówka z porów;

środa: zupa szczawiowa z jajkiem i ziemniakami, kasza gryczana z sosem, owoce w kremie;

czwartek: gęsta zupa z mięsem i jarzynami, z dodatkiem pieczywa, kisiel;

piątek: zupa jarzynowa z koncentratów, ryba smażona, ziemniaki, groszek, jabłko w cieście;

sobota: zupa cytrynowa z ryżem i słekaną natką pietruszki, zapiekanka z ziemniaków z serem, sos pomidorowy, fasolka szparagowa z masłem i bułeczką, surówka owocowa...

Jakoś... Jakoś niewyraźnie. Sprawdzamy i podsumowujemy jak Robinson na wyspie, gdy doznane łaski niebios porównywał z doznanymi cierpieniami. Wychodzi na to, że?

Mięso już tylko w niedzielę, nie żadne tam nelsonskie zrazy, tylko wołowina z rosółu. Odpadła wtorkowa kielbasa. Przybyła dwukrotnie natka z pietruszki. Pozostały dwie zapiekanki, przy czym jednak do ziemniaków zapiekanych z serem dodano sos pomidorowy i fasolę, co w sumie stało się na pewno dużą rewelacją, zwłaszcza po zupie cytrynowej i przed surówką z owoców. Prawdziwym postępem są oczywiście desery, aż pięć na tydzień, oraz ryba i kwiatek. Ten do niedzielnej sztuki mięsa.

Twórcy optymizmu, wywołany starym numerem „Mody”, byliby przynajmniej po tej analizie, gdyby nie to, że to wcale nieprawda. Że nikt w Polsce tak nie jadł i jadać nie będzie. I pewnie przed siedemnastu laty to też nie była prawda. Prawda jest chyba tylko to, że jadłospisy tygodniowe są zwyczajną wala, zapinającą nieopatrznie szpalty, robioną byle jak z przekonaniem, że nikt tego i tak nigdy czytać nie będzie. I na szczęście — naprawdę nikt nie czyta.

CWIEK

Redaguje zespół: Karol Badziak, Halina Bekowa (red. techn.), Wacław Billński (red. naczelny), Konrad Freidlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Jerzy Wilmański, Teresa Wojciechowska, Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 95. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa” Zam. 3111. XII. P-5.